



Marianna Sankiewicz

Dała nam skrzydła...

Marianna Sankiewicz

Data nam skrzydła...

Publikację z okazji jubileuszu naszej pani Profesor
Marianny Sankiewicz – Budzyńskiej
pod patronatem JM Rektora Politechniki Gdańskiej
prof. dr hab. inż. Henryka Krawczyka

zredagował i wydał zespół Jej wdzięcznych wychowanków.

Opracowanie materiałów:
Paweł Janikowski

Zdjęcia pochodzą ze zbiorów Marianny Sankiewicz i Jej wychowanków.

Copyright by Stowarzyszenie Absolwentów Politechniki Gdańskiej

ISBN 978-83-7348-381-1

Marianna Sankiewicz



Data nam skrzydła...

Gdańsk, październik 2011 r.

Posłanie JM Rektora Politechniki Gdańskiej

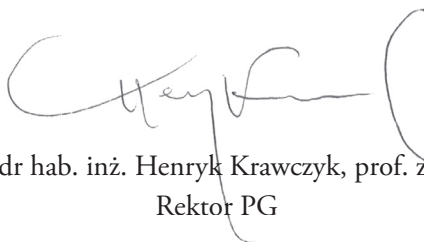
Pani docent Marianna Sankiewicz jest osobą niezwykle z wielu powodów, z których chciałbym podkreślić dwa, moim zdaniem najważniejsze. Po pierwsze, w okresie II wojny światowej przeżyła niesamowite wydarzenia, a po jej zakończeniu przybyła do Gdańska i rozpoczęła studia na Politechnice Gdańskiej. Poznała, jak nikt inny, całe dzieje naszej uczelni i posiada o niej głęboką wiedzę. Po drugie, jako nauczyciel akademicki przez wiele lat pełniła funkcję prodziekana ds. kształcenia na Wydziale Łączności, potem Elektroniki (obecnie ETI). Ukoronowaniem Jej kariery dydaktycznej była funkcja prorektora ds. kształcenia w trudnym okresie stanu wojennego. Co najważniejsze, w czasie pracy zawodowej pozyskała ogromną sympatię studentów i absolwentów – nie tylko polskich, ale i zagranicznych – a co najciekawsze, te relacje z tamtych lat trwają do dzisiaj.

Aktualne zmiany do ustawy dotyczącej szkolnictwa wyższego nakazują śledzenie losów absolwentów przez ich macierzystą uczelnię. Trwa szeroka dyskusja na temat praktycznej realizacji tego zadania. Chcę podkreślić, że Pani doc. Marianna jest prekursorką innowacyjnego rozwiązania tego problemu już od wielu lat. Nie tylko interesuje się losami absolwentów, ale utrzymuje z dużą ich grupą kontakt bezpośredni. Co więcej, mobilizuje ich do różnych wspólnych przedsięwzięć na rzecz naszej Uczelni. Jest to niesamowite osiągnięcie, podkreślę: fenomen, nie tylko w skali krajowej. Nie techniki komputerowe czy internet jest w tym najważniejszy, ale Jej radość życia i szczerze serce, dzięki czemu zdobyła uznanie wielu obecnych prezesów firm, dyrektorów różnych organizacji i stowarzyszeń. To opracowanie jest tego dowodem i jednocześnie podziękowaniem za wszelkie dobro, którym obdarzyła swoich studentów i absolwentów.

Przykładów doskonałej współpracy Uczelni z absolwentami, inspirowanych przez Panią Docent, jest wiele. Jeden z nich dotyczy odtworzenia i zainstalowania lwów naszej Alma Mater nad wejściem do Gmachu Głównego Politechniki Gdańskiej. Takie wzorce postępowania są godne uhonorowania i upamiętniania. Cieszę się, że Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej nadał Pani Docent wysokie odznaczenie. Gratuluję też absolwentom pomysłu i uwiecznienia ciekawych wydarzeń związanych z osobą Pani Marianny Sankiewicz.

W imieniu własnym i całej społeczności akademickiej Politechniki Gdańskiej składam drogiej Jubilatce również najserdeczniejsze podziękowania za trud poświęcony naszej Alma Mater i za otwarte serce, obejmujące tak wielu naszych absolwentów. Jest to wspaniały wzór do naśladowania dla młodych pokoleń.

Życzę dalszych wielu lat dobrego zdrowia i zawsze tak liczного grona sympatyków!

A handwritten signature in dark ink, appearing to read 'Henryk Krawczyk', with a large, sweeping flourish on the right side.

prof. dr hab. inż. Henryk Krawczyk, prof. zw. PG
Rektor PG

Dlaczego jest nam tak bliska?

Bo jest osobą niezwykle mądrą,
bo promieniuje matczynym ciepłem,
bo w Jej sercu jest tyle miłości dla innych,
bo jest wyrozumiała, tolerancyjna i dobra,
bo w Jej losach przeglądają się dzieje Polski XX wieku,
bo ma w sobie niewyczerpalne pokłady energii i witalności,
bo jest historią Wydziału Elektroniki w Politechnice Gdańskiej,
bo nigdy nikomu nie odmówiła pomocy,
bo była Naszą Panią Dziekan i Prorektor!
Tak odpowiedziałbym, gdyby ktoś zapytał:
DLACZEGO JĄ KOCHAMY?

Dlaczego tyle lat po studiach skupia wokół siebie całe zastępy absolwentów?

Dlaczego bez mrugnięcia okiem stawimy się wszędzie i o każdej porze, kiedy tylko o to poprosi?

Pani docent Marianna Sankiewicz dawała nam poczucie normalności i stabilności wtedy, kiedy nie wszystko było normalne i stabilne.

Dawała nam tchnienie w samorządność wtedy, kiedy społecznikostwo nie było w modzie.

Nie była i nie jest działaczką, aparaczykiem czy karierowiczem. Była i jest kimś nad wyraz, w najlepszym tego słowa znaczeniu, normalnym.

Kimś, kto swoim esprit daje innym cząstkę tej mądrości i widzenia świata, jakimi Ona go widzi.

To dzięki Jej inspiracji i pod Jej matczyną kuratelą studenci Elektroniki wyposażyli i zorganizowali swój akademik.

To Jej ciepły uśmiech przyzywał na najbardziej zwariowane obchody Dni Wydziału.

To dzięki Jej wsparciu akademik DS – 9 wielokrotnie stawał na najwyższym podium wśród najlepszych akademików w kraju.

To za Jej kadencji klub „Hi-Fi” niejednokrotnie zajmował pierwsze miejsca w ogólnopolskich konkursach.

A jednocześnie budowała unikalne na skalę kraju programy nauczania, prowadziła badania naukowe i wychowywała niezliczoną rzeszę polskich elektroakustyków.

To dlatego Jej imię przywołuje uśmiech na twarzy każdego absolwenta,

a nasz kolega z Mali, student i wychowanek Pani Profesor, nadał swojej afrykańskiej córce imię: Marianna Sankiewicz.

To dlatego nosimy w sobie niespłacony dług odebranej ongiś nauki bycia normalnymi i odpowiedzialnymi.

To dlatego chcemy, aby każde kolejne pokolenie studentów i absolwentów Politechniki Gdańskiej znało i szanowało takich profesorów.

I kiedy tylko nadarzyła się okazja – w imieniu absolwentów Wydziału Elektroniki, ale i Stowarzyszenia Absolwentów PG – wystąpiliśmy do Prezydenta Rzeczypospolitej o nadanie Jej Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski.

Georgis Bogdanis
Absolwent 1979 r.

Inżynieria kształcenia

Na trzecim spotkaniu powiedziała:

– *Pan bardzo dobrze zdał egzamin wstępny z matematyki, ale po pierwszym roku wziął pan urlop dziekański, właśnie przez matematykę...*

– *Pani Profesor to pamięta?* – osłupiałem. – *Przecież to było ponad czterdzieści lat temu...*

– *Im dłużej teraz z panem rozmawiam, tym więcej faktów dotyczących pana osoby przypomina mi się. Pamiętam też, że byłem w komisji, kiedy bronił pan pracę dyplomową. U profesora Jagodzińskiego...*

Tak było. Panią doc. dr inż. Mariannę Sankiewicz oczywiście pamiętam z okresu studiów. Była prodziekanem i choć nie miałem z Nią żadnych zajęć ni potyczek, to Jej osobowość przykuwała uwagę. Poważna, ale z pogodnym uśmiechem na ustach, rzeczowa, konkretna, ale przyjazna, miła, ciepła. Wzbudzała we mnie zaufanie, ale i respekt. Nie miałem pojęcia, że kwestia mojego urlopu dziekańskiego po pierwszym roku rozstrzygała się wtedy między Nią a mgr Martą Gałuszką, wykładającą nam matematykę.

– *Marta była osobą pryncypialną, ale wnikliwie przyglądała się studentom i oceniała ich sprawiedliwie. Przekonywała mnie, że warto panu dać urlop...*

Dziekanka po pierwszym roku to nie był standard. Nie wiem co zaważyło na opinii pani magister...

Do egzaminu poprawkowego z matematyki podchodziłem jeszcze w czerwcu. Pisemny zdałem, choć pewnie słabo. Na ustnym otrzymałem na kartce trzy pytania; nie pamiętam ich treści, ale musiały być dla mnie w tym momencie za trudne... Pamiętam natomiast doskonale końcową rozmowę z panią magister.

– *Mam wrażenie – mówiła pani Marta Gałuszka – że jest pan znudzony nauką, zmęczony... Nie chce pan odpocząć? Proponuję panu urlop dziekański...*



Styczeń 1946 roku. Panna Marianna w Gdańsku

Choć nie byłem przygotowany na taką propozycję, choć miałem jeszcze możliwość przystąpienia do egzaminu komisyjnego we wrześniu i ponad dwa miesiące czasu na przygotowanie, to bez namysłu przystałem na nią. Skąd pani magister wiedziała, że byłem wtedy pochłonięty muzykowaniem, próbami literackimi, że rozumiałem już, iż elektronika nie wypełni mi życia, nie zaspokoi ciekawości świata?

Nie mogła wiedzieć... Ale wyczuwała!

Przez pół roku, z mądrej woli mojego ojca, pracowałem jako robotnik.

Dojrzałem. Rodzicom obiecałem, że teraz już studia skończę bez niespodzianek. Z panią magister Gałuszka spotkalismy się po roku; zdałem bez problemów. Słowa danego rodzicom też dotrzymałem.

Przytaczam tu moją historię, bo potwierdza ona wieloletnią obserwację pani docent Marianny Sankiewicz:

– Chłopcy przychodzą na studia mniej dojrzały niż dziewczęta. Dziewczyny na pierwszym roku są już kobietami; są rozwinięte biologicznie i mentalnie. Chłopcy dopiero na drugim, trzecim roku stają się mężczyznami. Wcześniej wymagają bacznej uwagi i życzliwej pomocy. Jedni mają kompleksy, inni kłopoty z adaptacją w nowym środowisku, jeszcze inni bywają oszołomieni formalną dorosłością, a niektórzy po prostu mają jeszcze pstro w głowie... Do tego dochodzi powszechny na ogół problem wyrównywania poziomu wiedzy wyniesionej ze szkoły średniej i przystosowywania się do form przekazywania wiedzy w uczelni, do zamiany szkolnych lekcji na wykłady, ćwiczenia czy laboratoria. Młodym ludziom trzeba się w tym okresie życzliwie przyglądać i pomagać przezwyciężać trudności, bo mogą narobić głupstw i pokreślić sobie życiową drogę...

Doc. dr inż. Marianna Sankiewicz pracuje z młodzieżą akademicką ponad 60 lat. W różnych rolach: nauczyciela, opiekuna, prodziekana i prorektora. W życiu prywatnym nie jest matką, choć wychowała od dziecka Anetkę, córkę przyjaciół, osieroconą w czasie wojny; doprowadziła ją do ukończenia studiów wyższych i założenia własnej rodziny. W kontaktach ze studentami była więc nie tylko

dydaktykiem i etatowym wychowawcą, ale umiała przenosić na nie ciepło domowego ogniska rodzinnego. Wielu absolwentów Politechniki Gdańskiej, szczególnie elektronicy, do dziś nazywa ją „ciocią”, a w określeniu tym jest potężny bagaż ciepła i wdzięczności. Ona też wielu z nich doskonale pamięta i z satysfakcją wspomina. Z licznymi utrzymuje bieżący kontakt. Od niektórych otrzymuje pomoc wtedy, kiedy... organizuje ją dla współcześnie studiujących.

W licznych publikacjach wydziałowych można przeczytać życiorys pani Profesor, dokumentujący nade wszystko Jej dokonania zawodowe.

Sformułowania suche, rzeczowe, skromne, pozbawione przymiotników, grubą kreską rysujące sylwetkę Uczzonej. Prawdziwe, ale jakże niepełne. Może nie bez znaczenia jest tu fakt, że redaktorem wszystkich znanych mi wydziałowych publikacji okolicznościowych jest właśnie Marianna Sankiewicz. Może stąd ta powściągliwość, skromność, oszczędność słów. Ale inżynierska konkretność i towarzyszący jej chłód są cechą wielu innych publikacji uczelnianych tego typu.

Co wiemy o naszych nauczycielach, wychowawcach, opiekunach, mistrzach? Dlaczego niektórzy w sposób znaczny odcisnęli swoje piętno na naszych życiowych postawach, drogowskazach, wyborach? Dlaczego byli tacy, jacy byli?

Człowieka kształtuje dom rodzinny, wyniesione zeń wartości, a potem doświadczenia życiowe i wnioski z nich płynące. Idąc na pierwszą rozmowę z panią Profesor założyłem sobie, że uzupełnię swoją wiedzę o tym jaką była, ale postaram się też dowiedzieć dlaczego taką była? Skąd w Niej tyle cierpliwości, determinacji i życzliwości w kontaktach z młodzieżą? Skąd tyle zrozumienia dla słabości i problemów młodych ludzi oraz woli towarzyszenia im na trudnych odcinkach akademickiej drogi?

Jest wiosna 2006 roku. Z inicjatywy dziekana Wydziału ETI spotykamy się w sali Rady Wydziału. Wystrój konferencyjny: stoły ustawione w podkowę, ekran, rzutnik. Na tylnej ścianie portrety osobistości, które w historii Wydziału odegrały role szczególne:

profesorowie Paweł Szulkin, Łukasz Dorosz, Józef Lenkowski, Jerzy Seidler, Józef Sałaciński, Krzysztof Grabowski i inni. Jest też fotografia prof. Janusza Groszkowskiego, postaci wybitnej w historii polskiej elektroniki, który i w życiorysie pani Profesor odegrał znaczącą rolę: był promotorem Jej pracy doktorskiej.

„Urodzona w r. 1921, w Przerośli, na Suwalszczyźnie, wywieziona podczas wojny przez władze okupacyjne do Niemiec i tam więziona...” – czytam pierwsze zdanie Jej życiorysu, zamieszczonego w wydziałowej publikacji okolicznościowej z okazji jubileuszu 50-lecia Wydziału.

Prawie ćwierć wieku bodaj najważniejszego okresu kształtowania młodego człowieka w jednym zdaniu...

Udaje mi się namówić panią Profesor do wspomnień.

– *Moi dziadkowie posiadali majątki ziemskie na wileńszczyźnie – opowiada. – Rodzice kształcili się w Petersburgu, w szkołach dla dzieci z tzw. dobrych domów. Kiedy wybuchła zawierucha rewolucyjna, dziadkowie utracili majątki, a rodzice wyjechali do Polski. Osiedli na Suwalszczyźnie. Ja urodziłam się w pięknej miejscowości – Przerośl. Rodzice prowadzili schronisko turystyczne nad Wigrami. W naszym domu zawsze byli jacyś obcy ludzie – podopieczni. A to jakaś sierota, jakiś Kozak był przechowywany, jakiś człowiek, który potrzebował pomocy. Miałam dwie siostry, wcześniej dwoje rodzeństwa umarło. Jedna z sióstr skończyła studia medyczne, druga wydział chemii na politechnice. Tato zmarł wcześniej, w 1936 roku. Wychowywałam się w oparciu o dekalog, kształtowano we mnie wrażliwość na sprawiedliwość społeczną, na krzywdę innych ludzi, motywowano do niesienia im pomocy. Ukończyłam szkołę powszechną i gimnazjum im. Marii Konopnickiej w Suwałkach. W gimnazjum żeńskim miałam wspaniałych profesorów. Większość była po Uniwersytecie Jagiellońskim, z doktoratami, łącznie z panią od gimnastyki. Pamiętam nazwisko pani dyrektor – Maria Ropelewska. Szkoła miała regulamin na dzisiejsze czasy zakony. Było powiedziane, kiedy mamy nosić buty sznurowane, a kiedy z cholewkami, kiedy w jakich strojach. Było to wszystko sprawdzane przy wejściu do szkoły, gdzie stała nauczycielka dyżurna. Stał tam też*

kosz, do którego wszystkie dziewczyny składały swoje drugie śniadania. Na dużej przerwie kosz wjeżdżał na salę i każda brała pierwszą lepszą kanapkę. Dzieci pochodziły z rodzin o zróżnicowanym statusie materialnym, więc i kanapki były różnej jakości. Przy śniadaniu wszystkie byłyśmy równe. To było bardzo mądre i pouczające. Nasi nauczyciele to były wzorce nie tylko pod względem wiedzy, ale również postawy społecznej, moralności. Byłam ulubienicą matematyczki, organizowałam kółko matematyczne. W gimnazjum uczono nas języków obcych: łacińskiego, niemieckiego, rosyjskiego. Należałam do harcerstwa, to też bardzo ważna szkoła życia.



Czasy wileńskie

Miała 18 lat, kiedy usłyszała pomruki zbliżającej się wojny. Mama wysłała Ją do swojej siostry do Starogardu Gdańskiego, bo ta była chora, dzieci wymagały opieki, a wujka, lekarza, zmobilizowano do wojska. Nie była tam długo. Ze Starogardu ewakuowano ich do Wilna. Tam też, po zakończeniu działań wrześnieowych, ukrywał się wujek. Na wschód wywiezione też zostały mama i siostry.

Co czekało Ją w Wilnie? Zarabkowała roznoszeniem gazety – „Głosu Wileńskiego”. Chwaliła sobie tę pracę. Wstawała raniutko, ale i wcześniej kończyła. Miała czas na inne zajęcia. Była ambitna. Chodziła do instytutu języków obcych: niemieckiego, angielskiego, hiszpańskiego, francuskiego. Zasmakowała w języku niemieckim, bo lektor fantastycznie prowadził lekcje. Uczyla Litwinów polskiego. Tam nawiązała też kontakt z miejscową strukturą organizacji harcerskiej.

Pamięta wiosenną powódź w Wilnie, a potem epidemię tyfusu. Też padła jej ofiarą. Leżała w szpitalu, ludzie umierali jak muchy. Była w stanie ciężkim, tak beznadziejnym, że ulokowano już Ją w... kostnicy. Ocalała, bo wyniósł ją stamtąd sanitariusz. Wracała powoli do sił, a tymczasem w czerwcu 1941 Wilno zajęli Niemcy.

Musiała zarabiać na życie swoje oraz ciotki i dwojga jej dzieci, więc podjęła pracę w Soldatenheimie, kantynie dla żołnierzy

niemieckich, w zajęтым przez okupanta lokalu kawiarni Strahla. Obsługa była „ekskluzywna”, czyli złożona przeważnie z wykształconych Polaków. Miewała tam okazje, aby zbierać informacje, którymi interesowała się organizacja harcerska. Do baru przychodzili również żołnierze hiszpańscy. Poznała Antonia; miał do niej szczególny sentyment, który wkrótce okazał się pomocny.

Polacy byli w Wilnie na prawach uciekinierów. Litwini odnosili się do przybyszów różnie. Na żądanie Niemców, w 1942 roku zrobili listę Polaków przewidzianych do wywozu na roboty. Znalazło się na niej nazwisko Marianny Sankiewicz. Szóstego czerwca sformowano transport dla 2000 osób, w tym 600 więźniów z więzienia na Łukiszkach.

– Z wileńskiej organizacji harcerskiej otrzymałam polecenie zaopiekowania się trzema młodymi Żydówkami wywożonymi tym transportem – wspomina pani Profesor. – Na robotach w Niemczech miały większą



Ponure czasy obozowe. Stalag II B

szansę ocalenia. Musiałam zawsze być blisko nich, żeby wyręczać je w rozmowach z Niemcami. Ponieważ jechałam w mundurku harcerskim – byłam zauważalna. Pewnie dlatego na stacji kolejowej w Wilnie wypatrzył mnie... Antonio, poznany w Soldatenheimie Hiszpan, paradyjący w mundurze niemieckim. Wiedziałam, że więźniowie z Łukiszek byli bardzo wygłodzeni. Na moją prośbę Antonio skrycie przywiózł im skrzynię bułek, a mnie... bukiet róż. Chciał też wydobyc mnie z transportu, ale się nie zgodziłam. Jechaliśmy dwa tygodnie. Trafiliśmy do Hammersteinu – obozu jeńców wojennych – Stalag II B. Tam byli przetrzymywani Francuzi, Amerykanie, Jugosłowianie i Rosjanie, w sumie ok. 40 tys. żołnierzy. W obozie byliśmy dwa tygodnie,

mieszkając w barakach, na pryzkach, na których, w koszmarnych warunkach bytowali przedtem jeńcy radzieccy. Tam przemyciłam do naszej grupy trzech jeńców francuskich, organizując im cywilne ubrania. Co najważniejsze; poprzez jeńca – Polaka, wziętego do niewoli we Francji, nawiązałam kontakt z organizacją konspiracyjną, działającą na terenie obozu.

Wkrótce potem transport dotarł do Szczecina. Miała pod opieką owe trzy Żydówki i trzech przebranych jeńców francuskich. Stres, stres, stres. Podzielono ludzi na grupy. Część skierowano do pracy na wieś, w tym podopieczne dziewczyny. Panna Marianna pozostała początkowo w Szczecinie, gdzie pracowała przy sprzątanu ulic. Była wątła, wyczerpana, bez włosów, które jeszcze nie odrosły po tyfusie. Później przewieziono ją do Greifenhagen, skąd została przydzielona do obsługi domu dla starców (Altersheim) w Roderbeck – wraz z kilkoma Polkami i Rosjanami oraz jeńcami francuskimi. W Roderbeck udało się jej ponownie nawiązać kontakt z Hammersteinem



Portrety Marianny Sankiewicz i Anetki, narysowane w obozie przez ojca dziewczynki

i tamtejszą organizacją konspiracyjną. Na polecenie tej organizacji zbierała informacje istotne dla alianckiego wywiadu wojskowego. Szefową Altersheimu, Niemkę, uprosiła o przepustki na wyjazd do Hammersteinu. Tam przekazywała informacje, a stamtąd w „podzięce” za przepustki, przywoziła papierosy, czekoladę i kawę (z jeńnickich paczek UNNRA).

– 20 kwietnia 1943 r. – przypomina pani Profesor – *Niemcy obchodzili urodziny Hitlera. Dali nam wolne popołudnie. Nie chcieliśmy świętować z tej okazji, o czym powiadomiłam niemieckich nadzorców. Byli zbulwersowani. Dziesięć dni później przypadał dzień pierwszego maja. Chcieliśmy świętować, bo jesteśmy przecież robotnikami. Nie tylko nie usłyszałam przyzwolenia, ale trafiłam do aresztu. Trzy doby przesiedziałam w baszcie, a potem trafiłam do więzienia w Szczecinie. Okazało się w czasie śledztwa, że Niemcy mieli kopie mojej korespondencji prywatnej. Najpierw postawili zarzut szpiegostwa. Byłam zagrożona śmiercią. Potem jakoś się z tego wywinęłam. To był rok 1943.*

Koniec stycznia 1945 roku. Marianna Sankiewicz znowu jest w Roderbeck, w obozie pracy. Prowadzi nasłuchy radiowe. Przekazuje wiadomości. Zbliża się front radziecki. Drugiego lutego do Roderbeck wkracza pierwszy oddział Armii Czerwonej.

Wyzwolenie? Wolność? Nadzieja.

Niestety, koszmaru nastąpił ciąg dalszy...

Zaraz po zajęciu Altersheimu kilku Rosjan zamknęło pięć dziewczyn w pomieszczeniu. Sytuacja była jednoznaczna. Wołodia miał na imię ten, którego ruszyło sumienie, kiedy zrozpaczone, zapłakane dziewczyny błagały o pomoc. Wyszedł i zawiadomił dowództwo, że żołnierze weszli do pomieszczenia, choć zabraniał tego (ze względu na bezpieczeństwo wojskowych) rozkaz przełożonych. Wkrótce zjawił się oficer i poskromił rozjuszonych żołnierzy. Uratowane dziewczyny natychmiast uciekły do baraku Francuzów. Stamtąd, po paru godzinach, trzeciego lutego, pod osłoną nocy, grupa Polek, Rosjanek, Francuzów i Rosjan opuściła swoje miejsca pracy, udając się na wschód, w kierunku frontu.

Po pewnym czasie napotykają na kolejny oddział armii

radzieckiej. Czego się teraz spodziewać?

– *To był jeden z najstraszniejszych epizodów w moim życiu – opowiada pani Profesor. – Najpierw oficerowie przepytawali kim jesteśmy. Idącego z nami Rosjanina uznali za winnego poddania się do niewoli niemieckiej. Na moich oczach powiedli go na pole i zastrzelili. A ty kto? – mówią do mnie. Mówisz trzema obcymi językami? I sami odpowiadają: szpion. Rozstrzelać! – słyszę. I też wyprowadzają mnie na pole. W tym momencie stał się cud... Nadlatują niemieckie samoloty, zrzucają grad bomb. Uskoczyłam w bok, wyznaczony do egzekucji żołnierz też padł na ziemię, nie zdążył strzelić. Podniosłam się i pobiegłam w kierunku lasu. Ocalałam.*



Tuż po wojnie

W lesie natknęła się na dom, weszła, a tam byli już znajomi Francuzi i Polki. Im też niemiecki nalot umożliwił ucieczkę. Postanowili iść dalej w kierunku Polski. Wyszli o świcie. Po pewnym czasie znowu trafili na wojska radzieckie. Opustoszałe miasteczko nazywało się Bärwalde. Mieścił się tu lazaret radzieckich żołnierzy. Grupę uciekinierów zatrzymano i skierowano do różnych prac. Pani Mariannie, po raz kolejny w czasie wojny, przyszło służyć swoją znajomością języków. Sześciu funkcjo-

nariuszy NKWD przesłuchiwało pojmanych oficerów niemieckich, ona musiała tłumaczyć.

– *Szóstego dnia jeden z przesłuchujących oficerów, Sybirak – opowiada pani Sankiewicz – powiedział mi w tajemnicy, że jutro będę musiała z ich oddziałem, jako tłumacz, pojechać na Berlin, więc powinnam uciec... Tej nocy drzwi naszego lokum, które zawsze były*

zamykane, zostawił otwarte. Skorzystałam z jego rady i uciekłam do grupy moich koleżanek, pracujących na punkcie opatrunkowym.

Rankiem grupa uciekinierek – Polek obrała kierunek na Warszawę. Pierwsze kilometry przemierzały pieszo, słysząc było odgłosy wystrzałów. Potem trafiły na jakiś transport radziecki, który zmierzał na wschód. Skorzystały z przyzwolenia żołnierzy. Potem znowu wiele kilometrów pieszo. Dwudziestego lutego dotarły do Kutna. Tu wypatrzyły wojskowy transport kolejowy, który miał się poruszać w kierunku stolicy. Ukryte pod przewożonymi czołgami, dojechały aż do Miłosnej. Tu dopiero pociąg zatrzymał się, więc wyskoczyły. Cel tułaczki był tuż, tuż. Osiągnęły go pieszo.

Na gruzowisku Warszawy stanęły jeszcze tegoż dnia. Marianna Sankiewicz miała wtedy 24 lata. Kończył się trzyletni okres Jej obozowej poniewierki.

Również tego samego dnia, 20 lutego 1945 roku znalazły się na Pradze. Jedna z współtowarzyszek niedoli spotkała na ulicy swojego ojca. Po krótkiej rozmowie okazało się, że jest możliwość podjęcia pracy w Polskim Radiu.

23 lutego przekroczyła progi tej instytucji, przy ul. Targowej 63, na Pradze.

Trafiła przed oblicze Pawła Szulкина, dyrektora technicznego Polskiego Radia. Od słowa do słowa i pani Marianna usłyszała propozycję podjęcia pracy w tej firmie. To zaproszenie przesądziło o jej dalszych zawodowych losach.

Rozpoczął się nowe życie.



*Lata czterdzieste. Studentka
Marianna Sankiewicz
w wydziałowej kreslarni*



*Marianna Sankiewicz
z utrzymaną od losu córką
Anetką, w czasie letnich wakacji
(1951)*

– W Warszawie nie pracowałam długo, bo we wrześniu, na moją prośbę, skierowano mnie do powstającej rozgłośni w Gdańsku – wspomina pani Profesor. – Niebawem inaugurowała tu działalność Politechnika Gdańska. Równolegle z pracą rozpoczęłam studia na Wydziale Elektrycznym. W Gdańsku pojawia się profesor Szulkin. Zostaje kierownikiem Katedry Radiotechniki i prowadzi sekcję dy-

daktyczną o tym kierunku.

To myśli i działaniom prof. Pawła Szulkina zawdzięcza Politechnika powstanie kierunku elektroniki. Choć formalnie Wydział Łączności powstał w 1952 roku, czyli w czasie, w którym profesor przeniósł się już do Warszawy, to właśnie on, jako dydaktyk, badacz i promotor młodych kadr naukowych w latach 1945 – 1952 oraz jako rektor uczelni w okresie 1950-1951, był rzecznikiem wyodrębnienia z Wydziału Elektrycznego sekcji słaboprądowej i powołania samodzielnej struktury organizacyjnej. Jego starania doprowadziły też do wybudowania pierwszej samodzielnej siedziby Wydziału Łączności (dobudówka do gmachu Wydziału Elektrycznego).



Lata pięćdziesiąte. Pod żaglami i w Bieszczadach

Marianna Sankiewicz miała okazję poznać profesora i współpracować z nim blisko. Najpierw długie rozmowy w stołówce pracowników Polskiego Radia w Warszawie, gdzie szeregowi pracownicy i dyrektorzy spotykali się przy tzw. żupie regeneracyjnej i pajdzie chleba. Również współpraca przy uruchamianiu radiostacji w Raszynie. W Gdańsku stała się jego studentką, ale już na pierwszym roku studiów została zaangażowana do organizowania laboratoriów radiotechnicznych. Jeździła więc po jednostkach wojskowych, z których profesor – wtedy w randze podpułkownika Wojska Polskiego – nieodpłatnie „załatwiał” udostępnienie potrzebnego na PG sprzętu, i była odpowiedzialna za kompletowanie dokumentacji technicznej urządzeń oraz inwentaryzowanie ich. Jako pracownica Polskiego Radia, współpracowała z profesorem przy opracowywaniu bardzo wtedy potrzebnych skryptów szkoleniowych dla personelu



*W pracowni elektronicznej. Lata
pięćdziesiąte*

technicznego rozgłośni radiowych. Pod kierunkiem prof. Szulkina obroniła w 1950 roku swoją pracę magisterską. Jego trudnym kolejom losu poświęciła esej w publikacji pt. „Pionierzy”, wydanej z okazji 100-lecia Politechniki w Gdańsku i 60-lecia Politechniki Gdańskiej. Świadectwem Jej wdzięcznej pamięci o profesorze jest inicjatywa i zorganizowanie umieszczenia na grobie prof. Szulkina w Paryżu (na Cmentarzu Père Lachaise) tablicy nagrobnej, przypominającej m.in. jego związki z Politechniką Gdańską.

W czasie studiów poznała Gustawa Budzyńskiego, późniejszego męża i towarzysza życia oraz pracy zawodowej. Przedwojennego studenta Politechniki Warszawskiej, uczestnika Powstania

Warszawskiego i oficera AK. Rówieśnika, który – ze względu na wojenne losy – rozpoczął studia na Wydziale Elektrycznym PG dopiero w 1946 roku. Nie skończył ich w terminie, bo za działalność w AK i WiN został skazany na długoletnie więzienie. Opuścił je po siedmiu latach, w roku 1955, a magisterski dyplom uzyskał w 1959 roku, już na Wydziale Łączności PG.

Po uzyskaniu dyplomu magister Marianna Sankiewicz nie traci kontaktu z uczelnią. Ale głównym polem jej działania jest rozgłośnia Polskiego Radia w Gdańsku. Jest tzw. inżynierem ruchu, czyli odpowiada za techniczną stronę funkcjonowania stacji. Szkoli personel, zdobywa sprzęt, przygotowuje dziennikarzy do pracy z mikrofonem. Jeździ do rozgłośni w Koszalinie, Olsztynie, Szczecinie, gdzie prowadzi wykłady dla techników. Ma kontakt z bieżącą technologią radiową i później telewizyjną.

– Radio pozwalało gromadzić obserwacje i doświadczenia praktyczne, które przenosiłam do uczelni – powie po latach. – W laboratorium uczelnianym szukałam możliwości rozwiązania pojawiających się problemów. Tak było przez cały okres mojej kariery naukowej.

Bogatsza o doświadczenia praktyczne, w 1952 roku uzyskuje etat w Politechnice i staje przed studentami. Ma 31 lat i za sobą trudną młodość. Rozpoczyna się półwiecze, też nie wolne od trudności i kłopotów, ale obfitujące w dokonania naukowe i organizacyjne, we wdzięczność i sympatię kilku pokoleń studentów, w uznanie środowiska radiowców oraz specjalistów zagranicznych. Najpierw jest starszym asystentem w Katedrze Radiotechniki Nadawczej na Wydziale Łączności. Od 1958 roku pracuje jako adiunkt, a następnie wykładowca oraz starszy wykładowca w Katedrze Radiokomunikacji.

Pasjonuje się techniką radiową i tego rodzaju zainteresowania zaszczepia studentom. Wie, że postępująca technologia powoduje, iż rozgłośnie radiowe i stacje telewizyjne potrzebują fachowców, specjalistów potrafiących wdrażać nowe rozwiązania. Prowadzi badania problemów akustyki, w zakresie częstotliwości słyszalnych, od 1950 roku zaniechane na PG. W roku 1966 – już na Wydziale



*Koniec lat sześćdziesiątych. Taką panią Profesor pamiętam z „moich” lat
studenckich*

NAGRODA

MINISTRA
OŚWIATY I SZKOLNICTWA WYŻSZEGO
INDYWIDUALNA STOPNIA *trzeciego*

PRZYZNANA ZOSTAŁA

OBYWATELCE
Doktor inż. Mariannie Sankiewicz

ZA SZCZEGÓLNE OSIĄGNIĘCIA

W DZIEDZINIE

badan naukowych
za pracę doktorską p.t.
"Opór ujemny opornościowo-stabilny"

WARSZAWA, DNIA 1 PAŹDZIERNIKA 1969. ROKU



MINISTER
Polisinski

Elektroniki, w łonie Zakładu Hydroakustyki i Elektrofonii, kierowanym przez profesora Zenona Jagodzińskiego – organizuje Pracownię Elektrofonii i uruchamia specjalizację dydaktyczną elektrofonii, później nazwaną Inżynierią Dźwięku. Współpracuje z prof. Januszem Groszkowskim, wybitnym autorytetem i specjalistą z dziedziny radiotechniki, członkiem rzeczywistym Polskiej Akademii Nauk i przez wiele lat jej prezesem. Pod jego kierunkiem przygotowuje pracę doktorską na temat „Opór ujemny opornościowo stabilny”, którą broni w 1968 roku. Od 1970 roku uzyskuje etat docenta.

Ale Marianna Sankiewicz nie jest stworzona tylko do pracy w zaciszu laboratoryjnym, czy nawet – już nie tak spokojnej – sali dydaktycznej. Jej energia, umiejętności organizatorskie i życzliwość dla ludzi były zauważalne dla otoczenia. W 1960 roku zostaje powołana po raz pierwszy na stanowisko prodziekana Wydziału do spraw studenckich. W kolejnych latach ta nominacja zostanie powtórzona jeszcze pięć razy. W sumie sześć kadencji i siedemnaście lat poświęca pracy w roli prodziekana. Pod koniec lat siedemdziesiątych, z Jej inicjatywy, połączono stanowiska prodziekanów ds. studenckich i ds. nauczania, nominując jednego prodziekana ds. kształcenia.

– Przekazywanie wiedzy i wychowywanie w uczelni to procesy, które przebiegają równocześnie i wzajemnie się przenikają – tłumaczy pani Profesor. – Uczelnia kształci, przygotowuje młodego człowieka do życia zawodowego i społecznego. Dlatego uważałam i uważam, że piecza nad tym procesem powinna być w jednych rękach.

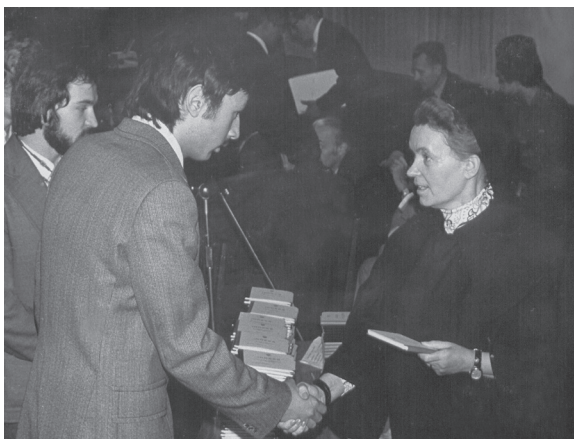
Ta inicjatywa przyjęła się w całej uczelni.

W odpowiedzialnej roli prodziekana współuczestniczyła w niezwykle dynamicznym rozwoju Wydziału w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku. W tym okresie Wydział uzyskuje prawo doktoryzowania (1965 r.), potem habilitowania (1975 r.), następuje zwielokrotnienie liczby samodzielnych pracowników nauki oraz rekrutowanych na studia słuchaczy. Powstaje nowy, przestronny gmach Wydziału. Coraz więcej osób otrzymuje dyplomy magisterskie i inżynierskie – w 1960 roku wypromowano 67 magistrów, zaś piętnaście lat później już ponad 200 magistrów i ponad

60 inżynierów elektroników różnych specjalności.

Jako prodziekan, w latach siedemdziesiątych na Wydziale Elektroniki PG zorganizowała wykłady z przedmiotów humanistycznych. „Spotkania z Muzyką” i „Spotkania z Architekturą”. Tak jak to praktykuje się na uczelniach zagranicznych. Ciekawe wykłady z tego rodzaju dziedzin rozwijają osobowości i horyzonty przyszłych inżynierów. Cieszyły się one dużym zainteresowaniem studentów różnych wydziałów Politechniki. Ale wśród dobrowolnych słuchaczy znajdowali się też studenci Uniwersytetu Gdańskiego, Akademii Muzycznej i Akademii Medycznej. Dla studiujących Inżynierię Dźwięku zajęcia te były obowiązkowe.

W końcu lat sześćdziesiątych wprowadziła też zwyczaj uroczystego rozdawania dyplomów magisterskich. To działa na emocje, podkreśla rangę dyplomu – tak uważała. Niektórzy początkowo kpili sobie z tego



*Pani Prodziekan wręcza indeksy najmłodszym
studentom*

pomysłu. Ale przyjęło się. Absolwenci sympatycznie wspominają tę uroczystość. Ja do nich należę, bo w 1969 roku też odbierałem dyplom w auli, w uroczystej oprawie. Było to również pamiętne przeżycie dla członków rodzin dyplomantów, z których część była w murach Politechniki po raz pierwszy i ostatni. Najbardziej jednak cieszyli się absolwenci z lat siedemdziesiątych, których zaraz po obronie pracy dyplomowej wcielano na rok do wojska. Uroczystość

była bowiem okazją do uzyskania krótkiej przepustki i „wyskoczenia” z munduru.

Za Jej kadencji utrwalił się jeszcze jeden zwyczaj: informowanie szkół średnich o wynikach egzaminów wstępnych ich absolwentów. Szkoły, szczególnie te lepsze, uznawały gest Politechniki za sympatyczny, zaś dla wszystkich odbiorców mogły to być informacje mobilizujące.

– *Pełniąc funkcję prodziekana, a potem prorektora – mówi pani Profesor – miałam jeden cel: chciałam młodym ludziom pomóc skończyć podjęte studia. Nasz Wydział stawiał kandydatom bardzo wysokie wymagania. Ubiegający się o indeks mogli zdobyć maksymalnie 32 punkty, zaś ilość zainteresowanych studiami na Wydziale była tak duża, że limit miejsc obsadzali tylko ci, którzy uzyskali nie mniej niż 29 punktów. Odpadali więc ludzie zdolni, ciekawi; rekomendowałam ich na inne wydziały, które miały słabszą obsadę. Różni ludzie przychodzili. Na ogół połowa rekrutowała się z Trójmiasta, a druga połowa z miast, miasteczek i wsi z całej Polski. Różne przygotowanie, różna kultura, różny poziom mentalny. Młodzież zamiejskowa przychodziła zwykle na uczelnię z ogromnym bagażem kompleksów, które ujawniały się na zajęciach i w akademiku. Zastanawiałam się jak im pomóc w adaptacji, w pozbyciu się psychicznych obciążeń. Trzeba było dobrać sposób komunikowania się z nimi i wyrównać poziom wiedzy. Dotyczyło to również studentów zagranicznych z Azji, Ameryki Południowej i Afryki.*

Już na początku lat sześćdziesiątych uświadomiła sobie, że znacznie łatwiej i skuteczniej można by oddziaływać na młodzież, gdyby możliwie wszyscy studenci Wydziału zamieszkiwali w jednym akademiku. Pomysł zyskiwał zwolenników, ale dopiero po kilku latach DS – 9 stał się wyłącznie domem elektroników.

Profesor wspomina Jana Repińskiego, pierwszego szefa Rady Mieszkańców w zintegrowanej społeczności elektroników. Zuch. To on zorganizował chłopców do wielkiej pracy społecznej dla wspólnego dobra. Sami remontowali zdewastowane przez poprzedników pomieszczenia, czyścili stare łóżka, meble, wymieniali prysznice.



Tradycyjne Dni Wydziału. W 1977 roku Pani Prodziekan została zaproszona do gry „w klasy”... Zapraszający: Georgis Bogdanis

Spółecznie organizowali pomoc naukową kolegom z pierwszego roku. Pani Dziekan załatwiła bezpłatne korzystanie z basenu PG w godzinach wieczornych. W DS działały komisje organizujące imprezy kulturalne, sportowe i rozrywkowe. Działał klub „Elka”. Nic dziwnego, że porządek i organizacja w DS 9 zyskiwały uznanie. W okresie siedmiu kolejnych lat akademik elektroników zajmował I miejsce w ogólnopolskim konkursie na najlepszego DS. Nagrodą były m.in. pieniądze, które wydawano na polepszanie warunków zamieszkiwania: wymianę mebli (piętrowe łóżka zastąpiono wtedy pojedynczymi; wyrzucono też słomiane materace), telefonizację sal, zakup telewizorów kolorowych itp.

– W pamiętnym grudniu 1970 – wspomina Marianna Sankiewicz – gdańscy stoczniowcy przyszli pod akademik i namawiali studentów do udziału w protestach. Okropnie bałam się o bezpieczeństwo mojej młodzieży. Na szczęście w tym samym czasie przyjechał właśnie transport zamówionych do DS 9 mebli. Udało mi się przekonać stoczniowców, że studenci są potrzebni do wyładunku. Ale prawdziwa trwoga ogarnęła mnie kilka dni później. W dniu, gdy na ulicach Gdańska lała się krew, otrzymałam w nocy wiadomość, że w akademiku brakuje jednego studenta. Nikt nie wiedział, co się z nim stało. Zaczęliśmy poszukiwania: milicja, szpitale, areszt. Trwało to kilka godzin. Wreszcie zadzwoniliśmy do rodziców, do Braniewa, aby powiadomić ich o losie syna. Okazało się, że mimo godziny milicyjnej i zakazu opuszczania miejsca zamieszkania, samowolnie i bez opowiedzenia się komukolwiek młodzieniec pojechał do domu rodzinnego. Uznał, jak mówił potem, że tam będzie bardziej bezpieczny...

W pamięci pani Profesor utrwaliło się wielu studentów. W szczególności tych z akademika, bo z nimi miała intensywniejszy kontakt, często związany z roztrząsaniem ich problemów indywidualnych i grupowych. Pamięta też bohaterów różnych ekscesów, sytuacji zabawnych lub dramatycznych.

Wietnamczycy. W pewnym okresie, w latach siedemdziesiątych, studiowała ich na Elektronice spora grupa. 30 – 40 osób. Dla prodziekana była to społeczność „specjalnej troski”. Słaba znajomość języka polskiego, gorsze przygotowanie do studiów, odmienność kulturowa i mentalna. A do tego indoktrynacja polityczna ze strony wietnamskich „opiekunów”, czyli tamtejszej bezpieki. W jednym z hoteli w Brzeźnie



*Dni Wydziału zawsze obfitowały
w atrakcje*

mieszkało ok. 500 wietnamskich pracowników zatrudnionych w stoczniach, których zadaniem była m.in. „opieka”, czyli inwigilacja Wietnamczyków przebywających na Wybrzeżu.

– *Ci chłopcy chcieli się uczyć, załatwiłam im finansowanie przez uczelnię korepetycji – wspomina pani Profesor. – Studia miały dać im szansę na lepsze życie, ale musieli podporządkować się rygorom wymaganym przez „opiekunów”. Nie wolno im było mieszkać w pokojach z Polakami, oglądać telewizji, ubierać się kolorowo. No i wszystko, co mieli do powiedzenia, było na cenzurowanym. Tłumaczyłam, że dla ich dobra (język i pomoc w nauce) studenci powinni mieszkać z Polakami, ale rezultat był mierny. W ich grupie byli donosiciele, którzy na bieżąco informowali „opiekunów” z Brzeźna. Ale i ja miałam swoją „wtoczkę” w tej grupie – nazywał się Thang. Chłopak mi zaufał i informował o wszystkich działaniach „opiekunów”. Funkcjonariusze indoktrynowali studentów, zdarzyło się, że bili, potrafili wykraść niepokornych i odesłać do kopalni w Wietnamie.*

To działo się w końcu lat siedemdziesiątych. 23 grudnia pod DS 9 podejżdza czarna wołga z ambasady wietnamskiej w Warszawie. Szykuje się draka. Smutni panowie chcą zabrać karnie dwóch studentów. Zagrożeni młodzi zadzwonili po panią prodziekan i ukryli się w pokojach studentów polskich. Docent Sankiewicz przybyła do akademika i wyprosiła przybyszów. Nie zabrali studentów. Poskarżyli się za to władzom twierdząc, że prodziekan zachowywała się niewłaściwie i obraziła naród wietnamski. Wkrótce wezwał Ją rektor, byli też faceci z KC, KW. Rektor i dziekan proponowali podanie się do dymisji...

– *To wszystko nieprawda – powiedziałam wtedy. – To jest szkalowanie uczelni i wydziału. Opowiedziałam jak było: na oczach studentów biją swoich, traktują brutalnie, wywożą z Gdańska ...*

Ale innym razem porwanie im się udało. Wykradli doktoranta: samochodem zawieźli do Warszawy, potem pociągiem w kierunku Moskwy, a docelowo do Wietnamu. Zdesperowany doktorant wiedział co go czeka, więc... wyskoczył z pociągu. Przeżył. Znaleźli go ludzie i zawiadomili ambasadę wietnamską. Ale kiedy chłopak

odzyskał przytomność, to kazał pilnie zatelefonować do pani Sankiewicz. Ta zorganizowała jego przewóz do Gdańska, ukryła. Udało mu się zrobić doktorat, został w Polsce.

Donosiciel, któremu nadano ksywę „Kwadratowy” (ze względu na wygląd), kiedyś rozszyfrował rolę Thanga, który podpadł również tym, że nosił kolorowe koszule i dłuższe nieco włosy. Zresztą grupka studentów wietnamskich, którzy asymilowali się w środowisku rówieśników z Polski i próbowali żyć jak oni, rosła. Tajniacy z Brzeźna słali alarmujące sygnały do swoich władz. Któregoś dnia w dziekaniu Wydziału zjawili się emisariusze z ambasady wietnamskiej. Choć mieli tłumacza, pani Profesor poprosiła do tłumaczenia właśnie swojego studenta, którym był Thang. Rozmowa była burzliwa, ale w jej wyniku żadnemu ze studentów nic złego się nie stało.

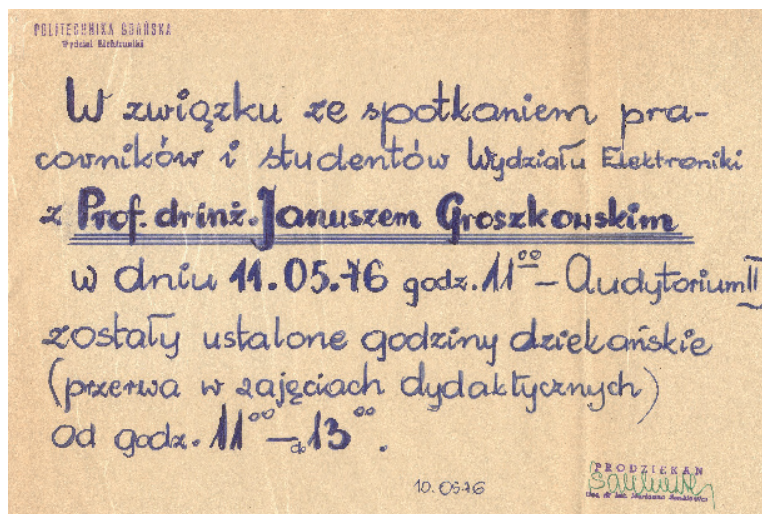
– *Chłopcy dziękowali mi potem za to, że obroniłam ich przed surową władzą – pamięta docent Sankiewicz. – O „Kwadratowym” powiedziałam wtedy przybyzsom, że w środowisku jest postrzegany nieprzyjaźnie i nie mogę wziąć odpowiedzialności za jego bezpieczeństwo. To sprawiło, że wkrótce przeniesiono go do Wrocławia. A Tang skończył studia, osiadł w Polsce, ożenił się, prowadzi w Warszawie prywatną firmę. Po latach przywiózł mi ogromny bukiet kwiatów...*

Ale nie zawsze udawało się skutecznie bronić chłopców z Wietnamu przed represjami totalitarnej władzy. Pani Profesor pamięta pewien egzamin dyplomowy.

– *Przyszli „kapusie” z Brzeźna i prosili mnie, żeby nie dopuszczać do egzaminu pewnego studenta wietnamskiego. Zdenerwowałam się, postanowiłam ich przechytrzyć. Przeprosiłam mówiąc, że chwilowo nie mam czasu i kazałam poczekać. Pobiegłam do sali egzaminacyjnej, wraz z komisją przeprowadziłam szybko egzamin tego chłopaka. Potem dopiero zeszłam do „kapusiów”. Słucham panów... Jeszcze raz wyłuszczyli swoją misję. Już jest po dyplomie! – powiedziałam. – Chłopak ukrywał się potem przez jakiś czas, później niestety trafił jednak na dwa lata do kopalni w Wietnamie. Czyściec! Dyplom przestano mu przez innego dyplomanta. Podziękował mi zań osobiście.*

Przechytrzać trzeba było nie raz w owych czasach władze nie tylko wietnamskie. W roku 1975 miało miejsce na Politechnice Gdańskiej uroczyste nadanie godności doktora *honoris causa* profesorowi Januszowi Groszkowskiemu, uczonemu światowej sławy, nazywanemu „ojcem polskiej elektroniki”. Był on, jak już wspomniałem, m.in. także promotorem doktoratu Marianny Sankiewicz. Nic dziwnego, że to właśnie Ona zaproponowała Radzie Wydziału wystąpienie z wnioskiem o nadanie tej godności profesorowi. Notabene, był to pierwszy doktorat honorowy nadawany przez Politechnikę Gdańską z inicjatywy Wydziału Elektroniki. Odpowiednią uchwałę Senat PG podjął 9 kwietnia 1975, a więc Uczelnia, a zwłaszcza Wydział przygotowywały się do uroczystości wręczenia dyplomu i insygniów swemu doktorowi h.c.

– Oczywiście na mnie, nie tylko z racji pełnienia funkcji prodziekana Wydziału, spoczęły przygotowania organizacyjne do nadchodzącej uroczystości. Nieoczekiwanie otrzymałam pilne polecenie władz



Ogłoszenie o zaimprovizowanym spotkaniu z prof. Januszem Groszkowskim (przed oficjalną sesją Senatu), na czas którego pani Prodziekan zarządziła przerwę w zajęciach (1975)



Po projekcji filmu profesor Groszkowski odpowiada na pytania pracowników i studentów Wydziału w zapelnionym do ostatniego miejsca Audytorium 2 (1975)

centralnych zakazujące organizowania jakiegokolwiek uroczystości z udziałem gości z zewnątrz, wraz z poleceniem wręczenia dyplomu na zamkniętym posiedzeniu Senatu. Powód był jasny. Komitet Centralny postanowił ukarać profesora za wyrażony przezeń wtedy protest przeciwko nieuczciwości i nadużyciom popełnianym przez wysokich funkcjonariuszy partyjno – państwowych. Swoją protest profesor wyraził publicznie, składając rezygnację z pełnionej funkcji w Radzie Państwa i odsyłając nadane mu odznaczenia państwowe PRL.

Zareagowała natychmiast.

– Zawiadomiłam władze, że zaproszenia na uroczystą, otwartą sesję Senatu, w dniu 23 maja 1975 zostały już rozesłane do wszystkich wyższych uczelni technicznych w Polsce i do innych zainteresowanych instytucji naukowych. Była to, rzecz jasna, nieprawda, ale jeszcze tegoż

dnia sporządzone i antydatowane zaproszenia poleciłam wyekspediować najszybszymi, jak można było, kanałami do poszczególnych adresatów. W tej sytuacji władze poczuły się zmuszone do odstąpienia od zakazu odbycia uroczystości, ale jednak zabroniły ogłaszania o niej i nakazały ścisłą kontrolę składu zaproszonych osób, eliminując udział przedstawicieli prasy, radia i telewizji oraz zakazując nagrywania jej przebiegu. Funkcjonariusze w cywilu czuwali przy wejściu do Sali Senatu, aby nikomu nie udało się złamać zakazów. Mimo tych restrykcji udało mi się jednak zorganizować wcześniej tegoż dnia spotkanie profesora ze studentami i pracownikami Wydziału, w dużym audytorium elektroniki (nr 2), podczas którego miała miejsce prapremierowa projekcja 45-minutowego filmu o profesorze Groszkowskim i o osiągnięciach Polskiej elektroniki – filmu świeżo zrealizowanego i natychmiast... skonfiskowanego przez cenzurę. Na szczęście jedną z kopii filmu zdolano ocalić i „przeszmuglować” do Gdańska. Spotkanie to, a zwłaszcza dyskusje po projekcji przebiegły w niezwykle podniosłej i wzruszającej atmosferze, która choć częściowo wynagrodziła profesorowi szykany ze strony władz.

Pani Profesor ma poczucie, że wielu młodym ludziom udało Jej się przekazać wyniesione z domu rodzinnego przekonanie, że trzeba, że warto pomagać innym, potrzebującym; bo dla nich to często ratunek, a dla pomagającego satysfakcja i radość. W kręgu Jej oddziaływania wyrosło wielu młodych, którzy na studiach poświęcali czas dla innych, a po wejściu w dorosłe życie, osiągnąwszy sukcesy zawodowe i moc sprawczą na eksponowanych stanowiskach lub we własnych firmach, pomagali i pomagają młodszym rocznikom studentów.

“Telekom” ze Straszyna, „Sprint” z Olsztyna, Pomorska Strefa Ekonomiczna z Sopotu, „Radmor” z Gdyni, a z Gdańska „Micro-net”, „SimTel”, „Telechem” „DGT”, „Techno-Service”, „Intech” „Elkor-Holding”, „Telkom-Telmor” i inne. A pod tymi nazwami kryją się wypróbowani społecznicy wydziałowi i uczelniani, wielokrotni sponsorzy: Zdzisław Rybnik, Andrzej Kiszkurko, Wiesław Rybnik, Andrzej Szekalski, Włodzimierz Ziółkowski, Henryk

Trzepacz, Andrzej Adler, Marek Antosz, Georgis Bogdanis, Janusz Czerwiński, Zenon Filipiak, Krzysztof Gadowski, Andrzej Kołtu-
niak, Jan Mioduski, Bożena Tyszko-Zięba, Konrad Kruszewski, Le-
szek Zięba,



*Na stopniach przed gmachem
głównym, po wyjściu z sesji
Senatu, profesor Groszkowski
i rektor, profesor Tomasz
Biernacki w rozmowie
z Marianną Sankiewicz
i Gustawem Budzyńskim (1975)*

Ryszard Bielawski, Włodzie-
mier Jażdżyk, Sławomir Ko-
zak, Krzysztof Feldzensztajn,
Krzysztof Brzeski, Adam Fel-
dzensztajn, Tomasz Bartoszek,
Leszek Pacuła, Grażyna Li-
szewska-Kozak, Waldemar Ku-
charski, Marek Illeczo, i wielu
innych. To oni wspomagają fi-
nansowo przedsięwzięcia pani
Profesor, np. kiedy organizuje
kolejny wyjazd swoich studen-
tów na zagraniczne konferencje
naukowe, laboratoria i warsz-
taty; ich firmy świadczą daro-
wizny na rzecz Politechniki,
z przeznaczeniem na konkretny
cel, np. wyjazd studentów. Bo
trzeba wiedzieć, że Marianna
Sankiewicz od wielu lat – i na-
wet teraz, kiedy od 1992 roku
jest już na emeryturze – ma
„zwyczaj” zabierania ze sobą na
konferencje zagraniczne stu-

dentów. A to Paryż, a to Hamburg, Amsterdam, Berlin, Barcelona,
Monachium, Wiedeń, Kopenhaga... W latach dziewięćdziesiątych
i później, po naukę wyjeżdżały grupy liczne, 30-40 osobowe. Na
koszt firm swoich starszych kolegów.

Przyjaciele – tak grono swoich wychowanków nazywa pani Pro-
fesor – nie zawodzią nigdy. W żadnej sytuacji. Są otwarci na każdą

Jej inicjatywę. A te dotyczą w różnym czasie różnych spraw. Oto w 2001 roku Marianna Sankiewicz wystąpiła wobec rektora PG z inicjatywą zrekonstruowania brakujących na fasadzie gmachu głównego Uczelni lwich głów. Kiedyś było ich sześć, po działaniach wojennych ostała się jedna. Właściwie dwie; tę drugą znalazła w 1945 roku wśród gruzów pani Profesor i przyczyniła się do jej przechowania. Teraz uznała, że gmach główny, wizytówka uczelni, wymaga odtworzenia jego pierwotnych ozdób.

Rektor, oczywiście, docenił inicjatywę, ale w budżecie uczelni nie było pieniędzy na ten cel. Znowu odwołała się do swoich niezawodnych przyjaciół.

Zgromadzili oni środki, pomogli w uruchomieniu skomplikowanego procesu rekonstrukcji ozdób. Dziś wykute w miedzi lwy są gotowe, czekają na zamontowanie. Gotowa jest także tablica informująca o sponsorach tej rekonstrukcji. Zawisnie przy wejściu do gmachu, oddając cześć przyjaciołom. Teraz pani Profesor „zbiera” pieniądze na montaż dumnych lwów. A to – okazuje się – znowu bardzo kosztowna operacja...

W 2004 roku rozmawiałem z grupą byłych działaczy uczelnianych Socjalistycznego Zrzeszenia Studentów Polskich i Zrzeszenia Studentów Polskich. Tematem były lata osiemdziesiąte na uczelni. To Leszek Pacuła powiedział wtedy o pani Profesor: „ciocia”. Przypomnieli to sobie inni. Mówiliśmy o latach osiemdziesiątych na uczelni.

Ich początek to „wybuch” „Solidarności”. Sierpień 80, stocznia, strajki, napięcie w całym kraju. I ulga: porozumienie! Nadzieja na zmianę systemu, na demokrację, na lepszą przyszłość.

W 1981 roku w Politechnice, podobnie jak w innych uczelniach kraju, miały miejsce pierwsze po wojnie demokratyczne wybory rektora i prorektorów. Doc. dr inż. Marianna Sankiewicz była jednym z kandydatów do prorektorskich gronostajów. Wygrała! Została prorektorem do spraw kształcenia. Zaszczyt i honor, ale nie wiedziała jeszcze, że będzie to jeden z najtrudniejszych okresów w jej karierze zawodowej. Nie wiedziała, że za parę miesięcy w Polsce ogłoszony zostanie stan wojenny.

– *To był bardzo trudny okres. Moje doświadczenie życiowe, obóz, więzienie w Niemczech, mąż siedem lat w więzieniu – to było chyba przygotowanie... Byłam zahartowana w obcowaniu z przeciwnościami* – mówiła mi pani Profesor.

Sercem i umysłem popierała idee głoszone przez „Solidarność”, chciała zmian, rozumiała studentów włączających się w nurt życia politycznego, które w istotnej części toczyło się na ulicach. Ale jednocześnie czuła się odpowiedzialna za młodzież. Obawiała się, że represje niepokornych w stanie wojennym mogą wypaczyć los co bardziej emocjonalnie działających studentów. Nie raz, nie dwa



Pani Prorektor (1981)

przyszło Jej nadstawiać głowę, uciekać się do forteli, korzystać z prywatnych znajomości, aby chronić młodych ludzi przed represjami, aby im pomagać. W tych potyczkach wspierali Ją inni odważni i odpowiedzialni pracownicy naukowcy Politechniki.

Sylwester 1981 roku. Mróz, śnieżnica, czołgi i posterunki przy ogniskach na rozstajach dróg. Pani Profesor, wraz z mężem, jedzie do Strzebielinka. Tu od kilkunastu dni przebywają internowani działacze opozycji. Są też studenci Politechniki – działacze NZS, z przewodniczącym tej organizacji Jerzym Kobylińskim.

– *Chciałam ich odwiedzić, zobaczyć co tam się dzieje, pocieszyć i dać sygnał, że władze uczelni nie pozostawią ich bez pomocy* – tłumaczyła mi Marianna Sankiewicz.

Do pawilonów, w których przebywali internowani, doszła na piechotę, bo śnieg uniemożliwiał dojazd. Kierownika obozu – wychowawcę z WSWF, w randze kapitana – prosiła, żeby pozwolił na widzenie ze studentami. Nic z tego, nie pozwolił. Obiecał jednak, że o odwiedzinach pani prorektor powie internowanym studentom PG.

Po pewnym czasie ponownie zawitała w obozie.

– *Dziś pan mi ich chyba wyda?* – zagadnęłam kapitana. – *Bo oni tu siedzą bez sensu, nic nie zrobili, nie są groźni...*

Wychowawca tym razem wpuścił Ją na widzenie.

– *Coś zawsze przywoziłam ze sobą, jakąś żywność, słodycze, środki czystości* – wspomina docent Sankiewicz. – *Rozmawiałam wtedy chyba z godzinę. Chłopcy mieli się dobrze, byli silni psychicznie. Kiedy wychodziłam z obozu kapitan powiedział do mnie: – „Pani mówi, że to tacy przyzwoici obywatele, a każdy z nich ma w klapie opornik.. – Oni wszyscy skończyli Technikum Łączności i na znak tego noszą oporniki – odpowiedziałam. – „Ja wiem dlaczego noszą...” – uśmiechnął się. Nie wypuścił studentów, bo nie mógł. Siedzieli jeszcze parę miesięcy.*

Okres stanu wojennego obfitował w Gdańsku w różne działania opozycji demokratycznej, w które włączała się młodzież studencka. A to demonstracja pod Pomnikiem Poległych Stoczniovców, to

zgromadzenie pod pomnikiem Sobieskiego, a to jakaś akcja podczas pochodu pierwszomajowego. Złapanych studentów wsadzano do aresztu, przepuszczano przez tzw. „ścieżkę zdrowia”, czyli przez szpaler pałujących milicjantów, oskarżano, usiłowano wymusić skreślenia z listy słuchaczy PG. Determinacja władzy stanu wojennego była duża, szczególnie w pierwszym okresie, w 1982 roku.

– *Gdyby pani rektor skreśliła stu studentów, to uratowałaby tysiąc innych* – powiedział na odprawie politycznej generał Mieczysław Cygan, wówczas wojewoda gdański.

– *To są metody frontowe – panie generale – ja mam inne doświadczenia i sposoby działania ...* – odpowiedziała.

Generał Jerzy Andrzejewski, wtedy szef wojewódzkiej milicji, powiedział Jej kiedyś:

– *Jest pani odważna.*

– *Co to znaczy odważna? Jak bomby spadały na głowę, wtedy można było się bać. Albo na procesie męża w latach czterdziestych, bo mógł dostać karę śmierci* – ripostowała.

– *Dwa razy w życiu chyba nawiedził mnie Duch Święty... – zamysła się pani Profesor.. – Raz, kiedy odwiedzałam przyszłego męża w więzieniu. Wigilia. Zimno, wywożą trumny, nie wpuszczają. Odmówili widzenia, chociaż wcześniej obiecywali. Napisałam do naczelnika podanie. Czekałam do wieczora na decyzję. Naczelnik wezwał mnie do siebie. I wtedy oświeciła mnie „siła wyższa”.*

– *Wyjeżdżam do Moskwy na dwa lata na stypendium naukowe... Chcę się pożegnać z narzeczoną – powiedziałam. Udało się, pozwolił. Po raz drugi oświecenie przyszło właśnie w stanie wojennym. W Starogardzie Gdańskim przetrzymywali 36 aresztowanych studentów Politechniki. Chciałam nie tylko odwiedzić swoich chłopaków, ale i przekazać im dary, jakie hojnie ofiarowywał dla naszych studentów ksiądz Henryk Jankowski. Prałat dawał wtedy Politechnice miesięcznie po 5 – 6 ton żywności do stołówek. Ponieważ funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa naciskali na skreślanie niepokornych studentów, powiedziałam gen. Andrzejewskiemu, że regulamin nie pozwala, aby skreślić studentów decyzją SB, bowiem musi tego dokonać uczelniana komisja*

dyscyplinarna, która wcześniej powinna ich przesłuchać. Generał Andrzejewski dał zgodę na wyjazd komisji do więzienia.

Do Starogardu pojechała z profesorem Wojciechem Sobczakiem, ówczesnym dziekanem Wydziału i starszym wykładowcą Władysławem Buczkowskim, kierownikiem katedry na Wydziale Architektury. Wcześniej udzielił Jej konsultacji prawnej mecenas Jacek Taylor, związany z opozycją demokratyczną. Samochód załadowany został żywnością, czekoladami, owocami, konserwami itp. Zabrano też szczoteczki do zębów, pasty i mydła, papierosy i kawę. Kawę z myślą o... pracownikach więzienia. To by się teraz nazywało: „łapówka”.

– *Do więziennego strażnika powiedziałam bez zmruczenia oka: dzień dobry, jesteście ze służby bezpieczeństwa Politechniki Gdańskiej – wspomina doc. Marianna Sankiewicz. – Chcemy przesłuchać aresztowanych studentów. Mundurowy zaprowadził nas do naczelnika więzienia. Prosiłam o rozmowę ze wszystkimi studentami, bez strażnika. Zgodził się. Liczyłam się jednak z tym, że będziemy podsłuchiwani... Weszliśmy, wraz z bagażem darów. Po drodze obdarowywaliśmy kawą wychowawców. Pocieszałam chłopców, mówiłam o działaniach władz PG na rzecz ich uwolnienia, uspokajałam, że nie będą relegowani. Niektórzy mniej zahartowani studenci płakali. Prosiłam, aby opanowali emocje i nie uciekali się do żadnych aktów demonstracji. Po pewnym czasie udało się ich wszystkich wyciągnąć z aresztu.*

Wydarzenia stanu wojennego i kilku następnych lat raz po raz nękały władze Politechniki. Rektor, profesor Jerzy Doerffer, unikał w miarę możliwości narażania autorytetu Uczelni oraz zniżania się do roli negocjatora i partnera władz politycznych, administracyjnych oraz milicji w rozwiązywaniu sytuacji konfliktowych, w jakie popadali studenci.

– Pani się lepiej zna na sprawach studenckich – mówił do swojej zastępczyni.

Również ówczesny I sekretarz partii na Politechnice, doc. dr inż. Zbigniew Kowalski, stronił od tego rodzaju rozmów. W tej sytuacji Mariannę Sankiewicz, prorektora do spraw kształcenia, obarczono obowiązkiem utrzymywania bieżących kontaktów z władzami.

Narady w Urzędzie Wojewódzkim odbywały się systematycznie. Z jednej strony przedstawiciele uczelni Trójmiasta, z drugiej Stanisław Bejger – I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego partii, generał Mieczysław Cygan – wojewoda gdański, generał Jerzy Andrzejewski – szef milicji i SB, oraz inni dygnitarze. Ci pierwsi zdawali sprawozdania z aktualnej sytuacji w środowisku akademickim. Drudzy pytali o szczegóły sytuacji znanych sobie z relacji SB i milicji, radzili, pouczali, nakazywali.

– *To nie były miłe rozmowy – wspomina pani Sankiewicz. – Stanisława Bejgera znałam jeszcze z lat pięćdziesiątych. Na którejś z narad powiedział do zgromadzonych notabli: – „Pani rektor była inżynierem, kiedy ja byłem w radiu gońcem...” Był do mnie życzliwie nastawiony. Ta znajomość pozwoliła mi załatwić parę spraw.*

1 maja, po pochodzie, z okna swojego mieszkania przy ul Fiszera pani Profesor widziała, jak w okolicy budynku przy ul. Do Studzienki 17 milicyjna „suka” zabrała czterech studentów, którzy szli do akademików. Widzieli to też inni studenci, którzy spisali numer samochodu i natychmiast zawiadomili panią Prorektor. Okazało się, że aresztowano czterech dyplomantów. Pani Docent natychmiast podjęła interwencyjne rozmowy na temat tego incydentu.

– *Kazali mi relegować dyplomantów, bo – twierdzili milicjanci – ci chłopcy pobili funkcjonariuszy na Dworcu PKP w Gdańsku – przypomina Marianna Sankiewicz. – Wyjaśniałam tę sprawę w milicji, powoływałam się na to, że widziałam tę sytuację na własne oczy – bez skutku. Wtedy poszłam do pana Bejgera. On wiedział, że nie kłamie. Po dłuższej rozmowie powiedział mi: – „Proszę przygotować na jutro raport w tej sprawie dla generała Milewskiego, który jutro przyjeżdża do Gdańska.” To był wtedy człowiek odpowiedzialny na szczeblu centralnym za milicję i SB. Przygotowałam, i następnego dnia pojechałam, tym razem wraz z rektorem prof. Jerzym Doerfferem, na rozmowę. Milewski był w cywilnym ubraniu, a rozmowa była, można rzec, dystyngowana. Niemal na powitanie powiedział: – „Przejawiamy tyle troski o młodzież, a ona jest taka niewdzięczna.” Rektor odpowiedział: – „Mamy łatwość dotarcia do studentów, jeśli mówimy prawdę.*

Prorektor Sankiewicz sporządziła raport o zaistniałej we Wrzeszczu sytuacji.” Wręczyłam raport, dodając że mieszkam tam, i widziałam wszystko osobiście, a więc tych studentów na dworcu nie było. Wieczorem zadzwonił do mnie Stanisław Bejger: – „Proszę jutro odebrać studentów” – powiedział. Jednak przy okazji odbierania studentów milicjanci odegrali się, przetrzymując mnie przez cztery godziny pod aresztem, wściekli, że wygraliśmy tę sprawę. W końcu chłopców wypuścili, ale zmaltretowanych psychicznie. Przywiozłam ich na posiedzenie Senatu oraz pokrzepiłam obiadem.

Pomimo napięcia politycznego lat osiemdziesiątych życie na Uczelni toczyło się na ogół normalnie. Oczywiście, studenci chodzili na wykłady i ćwiczenia, zaliczali kolokwia i egzaminy, niektórzy pobierali stypendia i dorabiali w „Techno – Service”, przeżywali



Dzięki współpracy z Polskim Radiem studenci Inżynierii Dźwięku korzystali w laboratoriach z profesjonalnej, nowoczesnej wtedy aparatury studyjnej (1993)

miłości i pobierali się, otrzymywali dyplomy i szykowali się do dorosłego życia. Trwały prace badawcze, robiono doktoraty i habilitacje, reorganizowano struktury, doskonalono wyposażenie aparaturowe. Najważniejszym zadaniem inwestycyjnym Politechniki był akademik, „dwójka”. Ten problem należał do kompetencji pani Profesor. W pewnym momencie wstrzymano dopływ pieniędzy na kontynuowanie budowy.



*Pani Profesor z Prezydentem
Aleksandrem Kwaśniewskim.
Z lewej: prof. Andrzej Czyżewski*



*... oraz z Premierem
Jerzym Buzkiem*

– Władze „grały” tym akademikiem w konflikcie z niepokornymi studentami naszej uczelni – mówi docent Sankiewicz. – Kiedyś powiedziano mi tak: – „Jeśli studenci przyjdą na pochód pierwszomajowy, to pieniądze będą...” Nie poszli. Kłapa. Cóż było robić? Zaprosiłam wojewodę Cygana na spotkanie do akademika. – „Wolałbym rowy kopać, niż spotykać się z tą niesformą młodzieżą”... – powiedział. Ale przyszedł. I to bez obstawy. Jemu też, podobnie jak nam, chodziło o ocieplenie stosunków między władzą a młodzieżą studencką. Prosiłam chłopaków, aby zachowywali się przyzwoicie, bo waży się kwestia pieniędzy na dokończenie „dwójki”. Nie posłuchali. Kiedy wojewoda zasiadł już na

sali, ktoś zgasił światło, a ktoś inny zawołał: – „Kto pana tu zaprosił?” Zdrętwiałam. Ale gen. Cygan wytrzymał napięcie: – „Nie przyszliście na pochód, to ja przyszedłem do was”... Potem spotkanie przebiegało już w łagodniejszym nastroju. Całe swoje doświadczenie życiowe i sporo sił zaangażowałam dla ochrony studentów przed dolegliwościami tego okresu, a nade wszystko represjami, które mogłyby złamać im życie.

Stan wojenny był dla wielu próbą charakterów i postaw. Niektórzy przeszli ją szlachetnie, inni tracili twarz. Byli tacy, którzy mówili po kątach, że najpierw Doerffer i Sankiewicz powodują wsadzanie studentów do więzienia, a potem – działając „pod publiczność” – wyciągają ich... Ktoś donosił I sekretarzowi partii w uczelni, że pani Profesor „rozmiękcza studentów politycznie”, inny „kablował”, że Prorektor jeździ do związanego z „Solidarnością” prałata Jankowskiego po żywność dla studentów... Sekretarz wysłuchiwał donosów, ale miał swoje własne zdanie.

– *Przetrwaliśmy ten trudny okres* – podkreśla po latach pani Profesor – *dzięki I sekretarzowi Komitetu Uczelnianego PZPR, profesorowi Zbigniewowi Kowalskiemu. To on pomagał nam we wszystkim i osłaniał, jak mógł. Będąc członkiem KC, miał autorytet i siłę. Działał rozumnie i szlachetnie. Kiedy wprowadzano stan wojenny w wielu uczelniach zmieniono władzę; w Politechnice Gdańskiej – nie. To dzięki niemu!* – *„Ja lepszej obsady na ten okres nie mogłbym znaleźć”* – *mówił władzom politycznym. Ja nigdy nie należałam do żadnej partii, ale też nigdy nie dzieliłam ludzi na partyjnych i bezpartyjnych. Uważam, że każdy przyzwoity człowiek jest poniekąd lewicowcem. Co to znaczy? To, że jest prospołeczny, że patrzy w jaki sposób może coś dać, coś zrobić dla innych? A znam bardzo wielu bezpartyjnych, którzy robili ogromne świństwa, myśląc tylko o swojej karierze i korzyściach osobistych.*

W 1982 r. na elektronice powołano Zakład Inżynierii Dźwięku, który prowadził badania z dziedziny inżynierii dźwięku i kształcił specjalistów. To była nowość w krajowych uczelniach. Warszawska Akademia Muzyczna przygotowywała dotąd realizatorów od strony muzycznej. Ale wiele kwestii technicznych wykraczało poza program i możliwości tej uczelni. W ślad za Gdańskiem poszła krakowska AGH, a także Politechnika Wrocławska. W Politechnice Gdańskiej badania i kształcenie miały szerszy profil: technika studyjna radia, potem też obrazu (TV), jeszcze później weszły też techniki multimedialne. Roboczy kontakt naukowców i studentów z gdańskim radiem pozwalał korzystać z coraz nowocześniejszego sprzętu.

Kierownikiem Zakładu był w tamtych latach doc. dr inż. Gustaw Budzyński, wraz z którym – równolegle do wypełniania obowiązków prodziekana – prowadziła badania naukowe i zajęcia dydaktyczne ze studentami pani Profesor.

– *Rozwijaliśmy z mężem m.in. badania akustycznych właściwości instrumentów muzycznych* – mówi Marianna Sankiewicz. – *Interesowały nas zwłaszcza organy i dzwony. Badaliśmy również problematykę akustyki wnętrz, techniki studyjnej oraz systemów mikrofonowych, systemów dookólnego nagłaśniania, analizy dźwięku i pokrewnych zagadnień. Wyniki tych badań wprowadzaliśmy do dydaktyki oraz prezentowaliśmy na międzynarodowych konferencjach.*



Przed gmachem rektoratu Uniwersytetu w Salonikach: Gustaw Budzyński, Marianna Sankiewicz i Jorgos Papanikolaou (teraz już profesor), organizator Kongresu FASE, w którym gdańscy naukowcy uczestniczyli dzięki umowie o współpracy obu uczelni (1985)

Kiedy w latach siedemdziesiątych wchodziła do techniki radiowej stereofonia, gdańska rozgłośnia urządziła swoje studio w Politechnice, w gmachu Elektroniki. Staraniem m.in. pani Profesor (która niezmiennie od wielu lat utrzymywała roboczy kontakt z Polskim Radiem – w roli konsultanta), wyposażono je bardzo nowocześnie. Włodzimierza Sokorskiego, ówczesnego szefa radiokomiteu, przekonała do zakupu profesjonalnego magnetofonu czterośladowego, który dawał zupełnie nowe możliwości. Na tej nowej aparaturze odbywały się zajęcia dydaktyczne oraz nagrywano audycje dla programu Polskiego Radia i TV. Studenci asystowali w nagraniach, robili prace dyplomowe. Korzystało i Radio, i Uczelnia.

Wtedy to w politechnicznym studiu nagrań rozpoczął pracę Ryszard Bielawski, technik zatrudniony w Radiu Gdańsk. Znalazł tu sprzyjający klimat do podjęcia dalszego kształcenia się; zdobył inżynierski dyplom. Od ponad dwudziestu lat jest prezesem zarządu i dyrektorem naczelnym firmy Telkom-Telmor w Gdańsku. Cechuje go talent organizacyjny i łatwość kontaktu z ludźmi, zwłaszcza ze swymi pracownikami. Jego firma zaś wielokrotnie sponsorowała zagraniczne wyjazdy studentów elektroniki. Ryszard Bielawski zaliczany jest do grona najwierniejszych przyjaciół Wydziału.

– *Jednym z pierwszych naszych doktorantów w Zakładzie, jeszcze w końcu lat siedemdziesiątych, był Grek, Jorgos Papanikolaou – mówi doc. Marianna*

Sankiewicz. – *Czasem trudny, czupurny, ale niezwykle zdolny muzycznie i technicznie. Dziś jest profesorem na Uniwersytecie w Salonikach. Jesteśmy w kontakcie, spotykamy się na międzynarodowych konferencjach. W 1977 roku zabraliśmy go z sobą do Paryża, na sesję światowego Festival du Son. Prezentacja przezeń nowego tetrafonicznego systemu transmisji dźwięku odniosła wielki sukces, a realizacja koncertu organowego w Katedrze Oliwskiej została wtedy odtworzona w godzinnej audycji na antenie France Musique.*

Specjalizacja Elektrofonii, a potem Inżynierii Dźwięku cieszyła się na elektronice wzięciem wśród studentów. Preferowano na tę specjalizację kandydatów z przygotowaniem muzycznym.



AUDIO ENGINEERING SOCIETY, INC.

presents this
Fellowship Award
To

Marianna Sankiewicz

FOR outstanding contributions
to audio education
and to the Audio Engineering Society.

By action of the

BOARD OF GOVERNORS

May 28, 2005

Thomas Leonard
PRESIDENT

[Signature]
SECRETARY

– Andrzej Brzoska. Zna pan? Dziś jest znakomitym realizatorem dźwięku w Teatrze Polskiego Radia – wspomina pani Profesor. – Zanim przyszedł na elektronikę, studiował w wyższej szkole muzycznej. Kiedy trafił do nas na specjalizację, namówiłam go na wzięcie urlopu dziekańskiego i dokończenie szkoły muzycznej. Postuchał. Jest teraz fachowcem najwyższej klasy. Marek Szczërba przed elektroniką też skończył studia muzyczne. Trafił potem na inżynierię dźwięku. Bardzo zdolny. Po dyplomie pracował na Wydziale. Zrobił doktorat. Potem otrzymał stypendium w Japonii. Dziś pracuje w Eindhoven. Jest tam wysoko cenionym specjalistą.

Istotnym krokiem rozwojowym lat 80 – tych było podjęcie prezentowania osiągnięć naukowych Zakładu Inżynierii Dźwięku na corocznych Konwencjach AES (Audio Engineering Society – światowego towarzystwa naukowego z siedzibą w Nowym Jorku, zajmującego się inżynierią dźwięku). Autorzy pierwszych prezentacji uzyskali członkostwo AES i stały kontakt ze światowym postępem w tej dziedzinie. Co więcej, w roku 1991, z inicjatywy Zakładu powołano w Gdańsku polską sekcję AES. Docent Marianna Sankiewicz została jej pierwszą przewodniczącą. W cztery lata później wysunięto Jej kandydaturę do Zarządu Głównego AES. W wyniku bezpośredniego głosowania w całej organizacji, została wybrana na dwuletnią kadencję na funkcję wiceprezydenta AES ds. Europy centralnej, nadzorującego działanie sekcji AES na terenie Niemiec, Szwajcarii, Austrii, Czech, Słowacji, Węgier, Polski, Rosji (Moskwa) oraz Izraela. Zorganizowała i powołała do życia nowe sekcje: na Litwie, Ukrainie, Białorusi i Rosji (Petersburg), a także nowe sekcje studenckie w tych krajach. Za tę działalność w 1998 roku otrzymała honorowy dyplom.

Na jednej z kolejnych AES Conventions, w 2005 roku, w Barcelonie, pani Profesor otrzymała kolejne uhonorowanie: tym razem dyplom Fellow Member of the AES za wybitne osiągnięcia dla AES oraz wyjątkowo skuteczną działalność edukacyjną w tej dziedzinie. W ten sposób Zarząd Główny AES docenił m.in. udział licznych polskich studentów i młodych adeptów nauki w corocznych Conventions i w powiązanej z tym działalności profesjonalnej.

Pani Profesor zawsze cieszyła się zaufaniem studentów. Jej spokój, uśmiech, brak pośpiechu i okazywane zainteresowanie przedstawianym przez młodych ludzi problemem rozluźniało rozmówców, a czasem skłaniało do najsłabszych zwierzeń. Pamięta przypadek, jaki wydarzył się w latach siedemdziesiątych. Doniesiono Jej, że pewien student elektroniki podjął w akademiku próbę samobójczą. Obiegowy komentarz mówił, że młody człowiek nie wytrzymał psychicznie wysokich wymagań, jakie stawiano na Wydziale. Odratowano go, zabrano do szpitala. Kiedy wrócił do zdrowia, pani Prodziekan zaprosiła go na rozmowę. Przyszedł. Jak musiała przebiegać ta rozmowa, skoro młody człowiek odważył się zdradzić pani Profesor swój najintymniejszy sekret? Wyznał, że przyczyną targnięcia się na życie był brak swojej akceptacji dla dominujących w nim skłonności homoseksualnych.

– *Zawsze interesowała mnie psychologia, człowiek* – mówi Marianna Sankiewicz. – *Przez lata nauczyłam się rozpoznawać cechy charakteru młodych ludzi po krótkiej rozmowie. A najbardziej interesujący dla mnie byli ci agresywni, tacy ściśnięci, szukający powodu, żeby wybuchnąć. Człowiek na ogół nie rodzi się z agresją. To zdarzenia nas kształtują. Pies, który nie był bity, nigdy nie ugryzie... Większość z tych agresywnych miała jakiś kompleks. Tylko trzeba było rozpoznać*



*Studenckie laboratorium
wyjazdowe w... Paryżu. Na
dziedzińcu Ecole Polonaise przy
ul. Lamande znajduje się tablica
poświęcona pamięci Polaków
poległych za Francję; m.in.
widnieje na niej kilkakrotnie
nazwisko Budzyński (2000)*

na jakim to tle. Na studiach ujawniają się jeszcze różne niedojrzałości i kompleksy młodzieży. Ale zdarza się, że na uczelnię trafiają także ludzie chorzy. Na przykład schizofrenicy. Pamiętam kilku takich, to bardzo zdolni ludzie, ale ich agresja miała podłoże chorobowe. Pięciu z nich uzyskało u nas dyplomy.

Również ten, którego pani Profesor zapamiętała najbardziej.

Któregoś dnia, wracając do domu, zauważyła go siedzącego na ławce nieopodal Jej domu. Wydawał się zamyślony. Zagadnęła, bo był to Jej dyplomant. Powiedział, że jest bardzo głodny. Zaprosiła do swojego mieszkania, nakarmiła. W pewnym momencie weszła do łazienki. Usłyszała stamtąd, że on zamknął drzwi wejściowe do mieszkania na łańcuch. Wybiegła do przedpokoju i zobaczyła go stojącego w drzwiach pokoju z grymasem na twarzy i z... nożem w ręku. Zagaiła więc przyjaźnie, wywabiła z drzwi i – choć z trudem – udało się nakłonić go do wyjścia z mieszkania razem na ulicę. Następnego dnia dowiedziała się, że w przeddzień tego wydarzenia chory student powiedział kolegom z akademika, aby kupili kwiaty, bo... niebawem będzie pogrzeb pani Sankiewicz. Sądziła, że to głupi żart... Młody człowiek wylądował w szpitalu pod Bydgoszczą. Potem trafił do szpitala na Srebrzysku. Promotorka postanowiła doprowadzić go do dyplomu. Chodziła do niego na konsultacje. W rozmowach nigdy nie powracali do dramatycznego incydentu. W wyniku Jej starań, miał w szpitalu swój pokój, pisał pracę; pierwszą podarł, potem napisał następną. Przed komisją bardzo dobrze odpowiadał. Znalazł zatrudnienie w zawodzie. Pół roku był dobrym pracownikiem, a pół chorował.

Sylwetka pani Profesor byłaby dalece niepełna, gdybym nie wspomniał o tym, że „etatowe” kontakty ze studentami w uczelni nie wyczerpywały Jej determinacji do niesienia pomocy innym, szczególnie ludziom młodym. – *Inwestowanie w młodzież, to kapitał* – mawia Marianna Sankiewicz. Więc „inwestowała” wielokrotnie, zresztą robi to do dziś.

„Matkowała” wielu młodym ludziom – z różnych stron i środowisk – niektórzy zamieszkiwali przez wielomiesięczne okresy pod

Jej dachem. Jedni studiując, inni uczęszczając dopiero do szkoły średniej. Pomagała im finansowo, chodziła na wywiady. Jej podopieczni i podopieczne – wszyscy ukończyli studia. Pani Profesor ma więc satysfakcję, że inwestycja w młodzież się opłaciła...

Wśród tej młodzieży byli i są nadal także obcokrajowcy, zwłaszcza z Afryki. Przez kilka lat dofinansowywała pewnego studenta z Mali. Nadal opiekuje się też czarnoskórym Guilain. Ponad cztery lata płaci za pokój Kongijczyka w akademiku. Podarowała mu lodówkę, pralkę, telewizor i inne sprzęty domowe. A daje mu jeszcze kieszonkowe; sam widziałem, bo spotkaliśmy go pod gmachem Wydziału po którejś naszej rozmowie.

Dzień był wtedy słoneczny, popołudnie. W gmachu Elektroniki i przed nim jeszcze spory ruch, studenci wchodzi i wychodzą, rozmawiają w grupkach. Dobiegają nas strzępki wulgarnej rozmowy dwóch dziewcząt.

Pani Profesor kręci głową.



Studenckie laboratorium w Paryżu; przed Pałacem Kongresowym, gdzie m.in. odbywały się zajęcia warsztatowe 108th AES Convention (2000)

– Słyszał pan, jak oni teraz rozmawiają? Rynsztok. Czasem zwracam im uwagę. Chłopcy najczęściej przepraszają, ale dziewczęta bywają bardziej zuchwałe. Zdarzało się, że usłyszałam wiazańkę... Zmienia się technologia życia, w domu nie ma czasu na rodzinne rozmowy, przyjaciółkę zastępuje kumpelka, listy – SMS – y, a w telewizji dominuje płaska komercja. Czasami myślę, że przestają tę współczesną młodzież rozumieć...

Zauważam, że mało który z przechodzących studentów mówi pani Profesor „dzień dobry”. Osoba anonimowa? Odkąd jest na emeryturze, kontaktuje się już jedynie z nieliczną grupą młodzieży. A na Wydziale studiuje teraz kilka tysięcy studentów, kiedy w latach sześćdziesiątych np. było ich kilkuset. Społeczność akademicka staje się coraz bardziej anonimowa. Coraz mniej zintegrowana. W uczelni nie są widoczne organizacje studenckie, młodzi nie spotykają się w stołówkach, bo je zlikwidowano, coraz więcej przyjezdnych studentów wynajmuje kwatery poza akademikiem, bo to tańsze. A kultura studencka jest w głębokiej zapaści. Wszyscy – i nauczyciele akademicy, i młodzież – są zabiegani, zmotywowani do szybkiego osiągnięcia celu, nastawieni na prywatność, na konsumpcję.

– W nauczaniu i wychowywaniu bardzo liczy się bezpośredni kontakt mistrza i ucznia – uważa Marianna Sankiewicz. – Szkoda, że dziś już w uczelniach nie ma warunków do kształtowania takich relacji. Współczesna technologia kształcenia – prowadzona w coraz lepszych warunkach lokalowych i aparaturowych – nastawiona jest na „masową produkcję” inżynierów. Coraz mniej jest miejsca na przekazywanie młodzieży wartości, na dialog mistrza i ucznia. Nawet egzaminy ustne stają się rzadkością, bo nie ma na nie czasu. A przecież dają one najlepszą możliwość sprawdzenia, co student rzeczywiście potrafi, i poznania go. Uczelnia wyższa nie ma uczyć zamkniętych raz na zawsze umiejętności zawodowych, ale powinna kształtować osobowość młodego człowieka i dawać umiejętność zbierania oraz przetwarzania informacji, a przez to rozwiązywania problemów, jakie człowiek w życiu napotyka.

I na tym właśnie – zdaniem pani Profesor – polega swoista inżynieria kształcenia.

– Wyższym poziomem inżynierii kształcenia jest trudne zadanie przygotowania przyszłych kontynuatorów tej działalności. Pomyślne spełnienie tego zadania przyniosło nam, to znaczy mnie i Gustawowi, największą życiową satysfakcję i wynagrodziło wszystkie trudy i wyrzeczenia, jakie ponosiliśmy kiedykolwiek na rzecz kształconych. Mamy więc obecnie dwoje znakomitych następców. Bożena Kostek i Andrzej Czyżewski już od piętnastu lat kierują specjalnością dydaktyczną Inżynieria Dźwięku i Obrazu oraz Katedrą Systemów Multimedialnych, wspaniale te placówki rozwinąwszy. Wspomagaliśmy ich rozwój na studiach, prowadziliśmy ich prace dyplomowe i doktorskie, doradzaliśmy w habilitacjach i awansach. Dziś oboje są profesorami o światowej renomie i niezwykle aktywnym udziale w krajowej i międzynarodowej działalności naukowej. Cieszą nas ich osiągnięcia naukowe, a zwłaszcza radują wyniki w kształceniu następnych pokoleń młodych adeptów inżynierii dźwięku i obrazu. Z wielką więc przyjemnością odwiedzamy „naszą” Katedrę; czujemy się w niej zawsze mile widziani i patrzymy z podziwem na trwającą tam stale intensywną i owocną pracę.



Kolejny wyjazd zagraniczny ze studentami. Kopenhaga (1996)

Kto raz próbował umówić się na spotkanie z panią Profesor, ten wie, że nie jest to łatwe. Mimo statusu emeryta, Marianna Sankiewicz jest bardzo aktywna i zajęta. A to wyjazd do Warszawy, a to spotkanie na Wydziale, to znów posiedzenie zarządu wspólnoty mieszkaniowej, której przewodzi, innym razem spotkanie z zaprzyjaźnionym absolwentem lub gościem z zagranicy. Energii i radości życia można Jej tylko zazdrościć.

– *Życie zawodowe miałam bardzo utrudnione* – mówi o sobie.
– *Przez wiele lat byłam „naznaczona” politycznie ze względu na życiorys męża. Wiele razy podkopywano pode mną dotki. Ale mimo różnych przykrości, które mi sprawiano, jestem człowiekiem spełnionym*



Andrzej Czyżewski i Bożena Kostek (kierujący obecnie pracami Katedry Systemów Multimedialnych) oraz Marianna Sankiewicz, w przerwie sesji naukowej w Ratuszu Głównomiejskim w Gdańsku (1993)

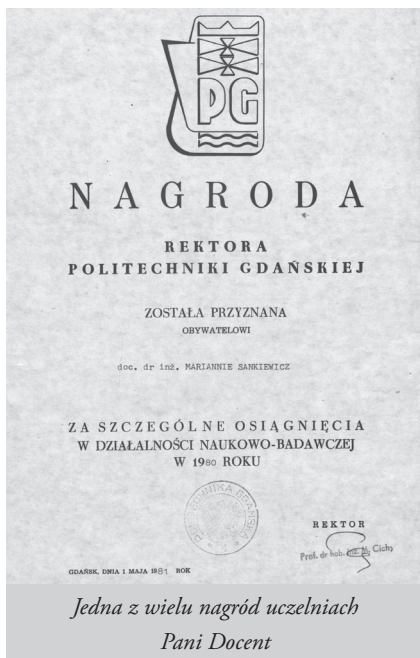
i szczęśliwym. Praca wśród młodzieży – wyselekcjonowanej, na wysokim poziomie – daje dużo satysfakcji. Moje osiągnięcia zawdzięczam przede wszystkim studentom. Ich akceptacja w dydaktyce i pracach edukacyjnych pozwalala mi na wieloletnie funkcjonowanie. Takiej młodzieży jak ja, to nie ma nikt na świecie...

Doc. dr inż. Marianna Sankiewicz ma w dorobku naukowym ponad 130 prac autorskich i współautor-skich, wiele referatów i pre-
zentacji na krajowych oraz międzynarodowych konfe-
rencjach naukowych, a sze-
reg prac badawczych, przeprowadzonych z Jej udziałem, znalazło
zastosowanie w praktyce. Uehonorowana została licznymi odznacze-
niami i medalami – państwowymi, resortowymi, samorządowymi
i zagranicznymi. Ale najlepsze świadectwo Jej dokonaniom w dziele
kształcenia dają zastępy studentów, którzy mieli okazję zetknąć się
z panią Profesor w 60 – letnim okresie Jej aktywności zawodowej.

Co o swojej „cioci” myślą po latach? Jak Ją wspominają?

W 2002 roku, z okazji 50-lecia Wydziału, ukazała się publikacja
książkowa pn. „Forum Absolwentów”. Składała się wyłącznie z tek-
stów napisanych przez byłych studentów Wydziału. Wielu z nich
poświęciło sporo miejsca osobie pani Profesor. Zacytuję jednego
z wspominających, Wojciecha Myszkiewicza:

*“Wielki człowiek o wspaiałym sercu, pedagog i przyjaciel wielu
roczników studentów. Kto na swojej drodze spotka takiego człowieka,*



staje się lepszy. Pani doc. Marianna Sankiewicz, dobry duch Wydziału Elektroniki, osoba, która przez wszystkie lata jest obecna w murach tej uczelni i której osobiście zawdzięczam bardzo dużo. (...) Bezinteresowność, siła charakteru, wielki autorytet, wspaniałe serce – czy są jeszcze tacy ludzie, którzy dają tyle co Pani Sankiewicz dawała i daje innym?”

Paweł Janikowski
Gdańsk, lipiec 2007 r.

Post Scriptum/sierpień 2011

Minęły cztery lata od czasu mojej ostatniej rozmowy z panią Profesor i napisania powyższego tekstu. Z początkiem października przygotowywane są okazałe uroczystości wydziałowe i uczelniane z okazji 90 – lecia Jej urodzin. Ta książka trafi wtedy do rąk czytelników. Byłaby niepełna, gdybym nie skorzystał z okazji dopisania tu historii tych paru minionych lat...

Spotykamy się w nowej bibliotece wydziału ETI. Pani Profesor przyniosła materiały ze swojego archiwum, aby zaspokoić ciekawość służb bibliotecznych, przygotowujących wystawę Jej poświęconą. Wypełniają sporą torbę na kółkach: dokumenty, zdjęcia, pamiątkowe gadżety. Z przedwojnia, lat okupacji i długiej historii pracy Marianny Sankiewicz w Politechnice Gdańskiej. Uczestniczę w przeglądaniu tych materiałów. A to listy, wiersze i rysunki z czasów pobytu w obozie, a to zdjęcia zamordowanych przyjaciół, to znów fotki z prywatnych wояжy po kraju i Europie, tu teczka pism urzędowych z okresu stanu wojennego w sprawie „niegrzecznych” studentów; dziesiątki, może setki... A każdy dokument przywołuje wspomnienia, refleksje, kusi do retrospekcji.

Wydobywanie z szaf i sortowanie owych materiałów to w ostatnich tygodniach główne zajęcie pani Profesor. Organizatorzy Jej jubileuszu ciągle o coś proszą, nawiedzają, ponaglą. Pewnie jest zmęczona i może dlatego trochę ostatnio chorowała.

– Jeszcze trochę, pani Profesor, i będzie spokojniej... – mówię.

Spokojniej? U Mariany Sankiewicz spokojniej? Sam nie dowiem...razam...

Przecież cały czas jest jeszcze szefową zarządu wspólnoty mieszkaniowej. Mieszka w zabytkowej kamienicy, której elewacja wymaga rewitalizacji. Więc dreptała i dreptać będzie po urzędach, aż zdobędzie pieniądze na ten cel. Za naprawę dachu i izolację fundamentów zapłacili sami mieszkańcy. Ale ozdobna elewacja wymaga rąk fachowców, konserwatorów, więc na to musi wyłożyć gmina. Jak znam Panią Profesor – wyłoży!

A czeka też na Nią Warszawa. Razem z mężem Gustawem Budzyńskim są zaangażowani w utrwalanie w stolicy miejsc pamięci o powstańcach, żołnierzach AK. Oboje byli ongiś związani z tą organizacją, pielęgnują jej historię, angażują się w inicjatywy z tym związane. Stąd częste wyjazdy do Warszawy, od lat. Teraz jeszcze nowe wyzwanie: chcą w domu zmarłej siostry pana Gustawa, malarki, urządzić muzeum jej prac. Będzie co robić.

W życiu pani Profesor zawsze było i jest co robić. Znakomita aktywność umysłowa, wrażliwość i „nałóg” patrzenia poza czubek własnego nosa nieodparcie podsuwają pomysły na jakieś zajęcia.



Insygnia doktorów Honoris Causa



Nowa tablica na mogile prof. Pawła Szulkina

Ot, podczas którejś kolejnej inauguracji roku akademickiego pewnie nie tylko Ona dostrzegła, że doktorzy *honoris causa* uczelni nie występują w wyróżniających ich godność togach. Ale tylko Ona podjęła temat. Zainspirowała w tej sprawie prof. Doerffera, wraz z nim udała się do ówczesnej Rafinerii Gdańsk S.A., gdzie prezesem był absolwent PG Włodzimierz Dyrka. Firma nie żałowała pieniędzy. Pod okiem pani Profesor zaprojektowano okazałe łańcuchy, wykonano i do dziś wyróżniają one uczonych uhonorowanych przez gdańską uczelnię

W 2000 roku była z młodzieżą studencką w Paryżu, na cmentarzu Père Lachaise odnalazła grób profesora Pawła Szulkina i jego małżonki. Tablica nagrobna była skromna w formie i treści – tylko nazwisko. Pomyślała wtedy, że znakomitej postaci profesora, jednego z pionierów elektroniki w gdańskiej uczelni technicznej, niegdyś Jej szefa i mentora, należy się więcej. Postanowiła uhonorować to miejsce pamięci. Zamyśliła ówczesnemu rektorowi Politechniki, prof. Januszowi Rachoniowi. Był „za”. Politechnika wyłożyła

pieniądze na nową tablicę, ale to Pani Profesor zorganizowała jej projekt i wykonanie. Jesienią 2007 roku odwiedzający paryski cmentarz dowiedzieli się, kim jest człowiek, który tu spoczywa.

Tablicę nagrobną przewieziono z Gdańska do Paryża samolotem. W organizacji transportu i montażu pomogli pani Profesor dwaj „chłopcy” (tak ich do dziś nazywa), absolwenci Elektroniki greckiego pochodzenia: Georgis Bogdanis – właściciel prężnego przedsiębiorstwa w Sopocie, i Jorgos Papanikolaou – profesor Uniwersytetu w Salonikach. „Chłopcy”, którzy od lat dowodzą swojego serdecznego do Niej przywiązania.

Ci i inni „chłopcy” są na każde Jej wezwanie. Gotowi do poświęcenia swojego czasu i pieniędzy. Dwanaście razy finansowali organizowane przez panią Profesor grupowe wyjazdy zagraniczne młodszych kolegów – studentów Elektroniki na konferencje naukowe i staże. Zrzucają darowizny bez zmruczenia oka, kto ile w danym momencie może. Odpłacają w ten sposób za pomoc świadczoną im przez Mariannę Sankiewicz w czasach studenckich, ale i praktyczne wskazanie drogi, która już poza murami uczelni, w pracy zawodowej, w życiu społecznym i prywatnym doprowadziła ich do życiowych sukcesów, do pomysłowości.

Wśród materiałów, które przeglądamy, jest i... prezent dla mnie: *„Lwy naszej Alma Mater”*. Książka upamiętniająca darczyńców rekonstrukcji lwów zdobiących fasadę



Są lwy...

... z Szacunku
... z Podziwu
... z Miłości

Absolwenci Wydziału Elektroniki
Politechniki Gdańskiej
Wdzięczni wychowankowie

**Pani Profesor
Marianny Sankiewicz**

Dla powszechnej Pamięci
Fundują

Lwy Marianny

Staraniem Pani Profesor przywrócone
Elewacji Gmachu Głównego
Politechniki Gdańskiej

I od tej chwili
po wsze czasy
takie noszą imię !!!



Gdańsk 10.10.2009r.

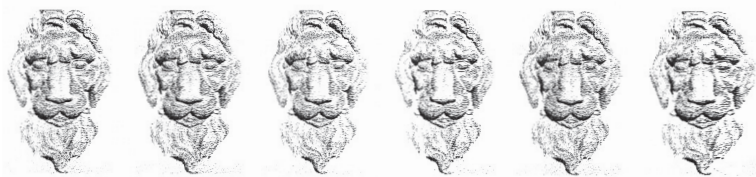
*Tak brzmi dedykacja
fundatorów Lwów*

Gmachu Głównego PG. I dedykacja: „Zasłużonemu Członkowi Lwiej Rodziny, Panu Pawłowi Janikowskiemu, z wyrazami wdzięczności za udział w upamiętnieniu działalności naszych absolwentów. Marianna Sankiewicz”. Co to za Lwia Rodzina?

W 1945 roku, podczas odgruzowywania obiektów politechnicznych, grupa harcerzy z Kręgu Starszoharcerskiego „Wodnik”, do którego należała drużyna Marianna, odnalazła jedną z lwich głów,

zdobiących niegdyś fasadę budynku głównego uczelni. Przed wojną było ich sześć. Jedna w stanie nienaruszonym przetrwała na swoim miejscu. Druga ocalała częściowo w gruzowisku. Cztery przepadły bezpowrotnie. Tę znaną przechowywano przez wiele lat w jednej z katedr Wydziału Architektury PG, ale mało kto pamiętał o jej istnieniu.

W pierwszej połowie lat osiemdziesiątych, kiedy pani Profesor dostąpiła zaszczytu pełnienia godności prorektora uczelni, wizytowała architektów. I wtedy w zakamarkach katedry natknęła się na miedzianą głowę lwa. Zrodziła się myśl o przywróceniu brakujących pięciu lwów fasadzie Gmachu Głównego.



Fasadę Gmachu Głównego naszej Uczelni zdobiło, na poziomie IV piętra, sześć lwich głów, symbolizujących cnoty obywatelskie - w nawiązaniu do lwów na tarczy herbowej Gdańska. W roku 1945, podczas działań wojennych, cztery lwie głowy uległy zupełnemu zniszczeniu, jedną odnaleziono później w gruzach pod Gmachem, zaś tylko jedna ocalała na fasadzie.

Z okazji Jubileuszu 60-lecia Politechniki Gdańskiej grupa absolwentów naszej Uczelni podjęła inicjatywę zrekonstruowania tych pięknych, symbolicznych ozdób i złożyła w darze środki finansowe sponsorując koszty ponownego wykucia głów w miedzi. Rekonstrukcję wykonała firma Bartłomiej Küster - Kowalstwo Artystyczne w Gdańsku. Na tablicy poniżej, wymienieni zostali sponsorzy w kolejności uzyskania dyplomu, z zaznaczeniem roku i skrótu symbolizującego Wydział Uczelni.

Eryk BUDZYŃSKI	48-BL	Jan MIODUSKI	79-Ea
Jerzy DOERFFER	50-BO	Andrzej PAKUŁA	79-Ea
Andrzej KŁOCEK	50-Ey	Ryszard BIELAWSKI	80-Ea
Stefan WŁODARCZYK	51-Ey	Krzysztof FELDZENSZTAJN	81-Ea
Bolesław MAZURKIEWICZ	53-BL	Sławomir KOZAK	81-Ea
Klemens GNIECH	56-BO	Andrzej CZYŻEWSKI	82-Ea
Gustaw BUDZYŃSKI	59- Ł	Adam FELDZENSZTAJN	82-Ea
Janusz RYBICKI	65-Ch	Bożena KOSTEK	83-Ea
Zdzisław RYBNIK	72-Ea	Miroslaw JANKOWICZ	83-MT
Wiesław RYBNIK	74-Ea	Tomasz BARTOSZUK	84-Ea
Włodzimierz ZIÓŁKOWSKI	74-Ea	Daniel JANKOWICZ	84-MT
Jorgos PAPANIKOLAOU	75-Ea	Leszek PACUŁA	84-Ea
Jan MADEY	78- A	Leszek PANKIEWICZ	84-Ea
Eugeniusz WINCEK	78-Ea	Grażyna LISZEWSKA-KOZAK	86-Ea
Andrzej ADLER	79-Ea	Artur DYRO	90-Ea
Janusz CZERWIŃSKI	79-Ea	Waldemar KUCHARSKI	90-Ea
Georgis BOGDANIS	79-Ea	Piotr MRÓZ	90-Ea
Zenon FILIPIAK	79-Ea	Jacek KOTARSKI	92-Ea
Konrad KRUSZEWSKI	79-Ea	Marek ILLECZKO	04-ETI

Niech te sześć lwich głów, podobnie jak lwy w herbie Gdańska, stanowią symbol więzi Absolwentów z ich ALMA MATER GEDANENSIS.

Niniejsze społeczne działanie zostało zrealizowane za przyzwoleniem i wsparciem, którego udzielił J. M. Rektor Politechniki Gdańskiej, prof. dr hab. inż. Janusz Rachoń.

Fundatorzy Lwów Marianny

Lwy posadowiono na właściwych miejscach budynku w grudniu 2008 roku. Z okazji tego wydarzenia rektor uczelni, prof. dr hab. inż. Henryk Krawczyk napisał: „...*mieliśmy sposobność podziękować grupie sponsorów tego dokonania, a zwłaszcza >spiritus movens< grupy – koleżance Mariannie Sankiewicz.*”

Inicjatywa rekonstrukcji lwów miała aprobatę władz Politechniki, ale... w kasie uczelni nie było na to pieniędzy. Pani Profesor nie załamuje rąk – organizuje Lwią Rodzinę! Zараża ideą swoich niezawodnych „chłopców” z Elektroniki, inspirowane inne osoby emocjonalnie związane z Politechniką. Sponsorska „Rodzina” liczy w końcu 38 członków, którzy wykładają pieniądze na rekonstrukcję, pomagają w realizacji dzieła. Na liście sponsorów są przede wszystkim absolwenci Elektroniki. Powtarzają się takie nazwiska jak: Zdzisław i Wiesław Rybnikowie, Włodzimierz Ziółkowski, Jorgos Papanikolaou. Eugeniusz Wincek, Janusz Czerwiński, Zenon Filipiak, Georgis Bogdanis, Jan Mioduski, Ryszard Bielawski, Adam i Krzysztof Feldzensztajnowie, Tomasz Bartoszek, Leszek Pacuła, Grażyna i Sławek Kozak, Waldemar Kucharski, Marek Illeczko. Ale są i absolwenci innych kierunków: profesorowie PG Jerzy Doerffer /BO/ i Bolesław Mazurkiewicz /BL/, a także Janusz Rybicki /Ch/, Andrzej Kłoczek i Stefan Włodarczyk /Ey/, Mirosław i Daniel Jan-kowiczowie /MT/.

„Spiritus movens” nie tylko inspirował i powoływał „Rodzinę”. Organizował wszelkie sprawy związane z wykonawstwem lwów: m.in. wynalazł pracownię kowalstwa artystycznego Bartłomieja Küstera, załatwiał zamówienie specjalnych, grubych blach miedzianych z Niemiec, doglądał przebiegu montażu. Chodził, rozmawiał, organizował. Z pasją.

Są więc dwie głowy na pięknej fasadzie Gmachu Głównego PG, którym „chłopcy” nadali nazwę „Lwy Marianny”, jest Lwia Rodzina, jest satysfakcja pani Profesor i grona sponsorów.

Wśród dokumentów rozłożonych na stołach Biblioteki Wydziału ETI zauważam wydruki dwóch e-maili, skierowanych do Marianny Sankiewicz przez nadawców z Afryki. Jeden z nich z 2007

roku, z Mali, napisał po polsku student i doktorant Wydziału, dr inż. Madian dit Tieman Diarra:

„... Wiedza zdobyta podczas mojego doktoratu służy mi tu obecnie, ponieważ dzięki niej mogę wziąć udział w wielu koncepcyjnych pracach, dotyczących organizacji bibliotek numerycznych dla muzeów oraz implementacji do nauk dla grupy naukowców z Instytut d'Ekonomie Rurale. /.../ jestem bardzo wdzięczny za:

- 1. Pani właściwie dała mi stypendium, które umożliwiło mi podjęcie, prowadzenie nauk i ukończenie studiów doktoranckich. Świadom jestem, że to Polska przyznała mi to stypendium, ale ułatwiła i skierowała Pani całokształt tej procedury.*
- 2. Była Pani podporą nie tylko finansowo, ale też moralnie i socjalnie. Po prostu była Pani jakby moją biologiczną matką.*
- 3. Umożliwiła mi powrót na czas do domu. Bez Pani czekałbym niepotrzebnie długo na bilet powrotny do kraju. Bardzo dziękuję za pomoce tak liczne, że nie sposób tu wymienić wszystkie./.../”*

Wdzięczność tego człowieka sprawiła, że pani Profesor ma w Afryce swoje „drugie wcielenie”: jego córka otrzymała imię: Marianna Sankiewicz.

I drugi email, z 28 sierpnia 2011, z Konga, od Mayuku Guilain, studenta kończącego PG kilka lat temu (w zapisie dosłownym):

„Dziendobry Mamo, ciągle jestem w Kinszasie i myślę o tobie; zawsze pamiętam jak byłeś dobrze dla mnie /.../ Myślę że się zobaczymy na pewno. Kocham cię. Pozdrawiam.”

Ileż to podobnych wiadomości – pisanych i wypowiedzianych – dotarło do pani Profesor w ciągu wielu lat Jej kariery nauczyciela akademickiego? Pewnie tyle, ile dobra wyświadczyła swoim potrzebującym wychowankom.

– Kilka razy w życiu cudem uniknęłam śmierci dzięki pomocy dobrych ludzi, często zupełnie mi obcych, przypadkowo napotkanych – mówi Marianna Sankiewicz. – Mam poczucie, że jestem coś winna

bliżnim, że muszę to nieoczekiwane a tak ocalające mnie dobro odplacić innym, którzy też są w potrzebie.

A DOBRO przez Nią świadczone zdaje się nie mieć końca. Zaproszenie na uroczystości jubileuszu pani Profesor opatrzone informacją: *„Imprezie towarzyszy wystawa oraz aukcja na rzecz podopiecznych Pani Profesor. Jubilatka prosi, by – zamiast kwiatów – wesprzeć aukcję.”*

Paweł Janikowski
Absolwent 1969 r.

Wniosek o nadanie odznaczenia

Załącznik do rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 15 grudnia 2004 r.
WZÓR WNIOSKU O NADANIE ORDERU LUB ODZNACZENIA

STOWARZYSZENIE ABSOLWENTÓW POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ W GDAŃSKU; UL. G. NARUTOWICZA 11/12; 80-233 GDAŃSK jednostka organizacyjna sporządzająca wniosek			GDAŃSK, 2 LUTEGO 2010 ROKU miejscowość i data sporządzenia wniosku po wypełnieniu ZASTRZEŻONE		
			nr egz. 1		
należy wypełnić pismem drukowanym WNIOSEK o nadanie orderu - odznaczenia* KRZYŻ OFICERSKI ORDERU ODRODZENIA POLSKI nazwa klasy orderu lub stopnia odznaczenia			nr rejestru / 1 nr pozycji w notatce lub wykazie		
1. Nr PESEL 21092601425		2. Płeć mężczyzna ☐ kobieta ☒			
3. Nazwisko (należy wypełnić dużymi literami) SANKIEWICZ-BUDZYŃSKA		4. Imiona (należy wypełnić dużymi literami) MARIANNA			
5. Imię ojca (należy wypełnić dużymi literami) KAZIMIERZ		6. Imię i nazwisko rodowe matki (należy wypełnić dużymi literami) MARIANNA PISZCZAKO			
7. Data urodzenia 1921 09 26 rok miesiąc dzień		8. Miejscowość urodzenia PRZEROŚL WOJ. SUWAŃSKIE		9. Obywatelstwo POLSKIE	
10. Miejsce zameldowania na pobyt stały Pomorskie Gdańsk województwo miasto-dzielnica-gmina 80-231 GDAŃSK kod pocztowy i miejscowość Fiszerza 8 4 ulica nr domu nr mieszkania			11. Dokument tożsamości nazwa dokumentu DOWÓD OSOBISTY seria AIR numer 170351 PREZ. M. GDAŃSKA nazwa wystawcy dokumentu		
12. Poprzednie nazwiska (rodowe, z poprzedniego małżeństwa, sprzed zmiany w trybie administracyjnym) Sankiewicz			13. Czy występują okoliczności określone w art. 3 ustawy o orderach i odznaczeniach? NIE (Wypełnić wpisując „tak” lub „nie”)		
Emeryt 14. Stanowisko miejsce pracy miejscowość					
15. Posiadane ordery lub odznaczenia nazwa nr legitymacji data nadania KKOOP 841-73-18 23.01.1973 SKZ J-10853 30.08.1965			16. Adnotacje Kancelarii Prezydenta RP		
*Uwaga: we wnioskach dotyczących cudzoziemców należy wypełnić rubryki nr: 2, 3, 4, 7, 8, 9, 10, 14, 15, 18 i 20. Pozostałe rubryki wypełnić w miarę możliwości.					
nr ewidencyjny po wypełnieniu ZASTRZEŻONE strona 1/2					

We wniosku do Prezydenta RP o nadanie odznaczenia Pani Docent absolwenci napisali następujące

UZASADNIENIE

Pani doc. dr inż. Marianna Sankiewicz była w gronie pracowników naukowo - dydaktycznych Politechniki Gdańskiej osobą wybitną. Związana z uczelnią od 1945 roku, do dziś pozostaje aktywną uczestniczką życia społeczności akademickiej. Jest twórcą (wraz z mężem Gustawem Budzyńskim) kierunku „Inżynieria dźwięku” na Wydziale Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki, autorką wielu nowatorskich prac i wychowawcą zastępów specjalistów z tej dziedziny wiedzy. Przez kilka dekad pracy naukowej, dydaktycznej i organizatorskiej pełniła różne funkcje w strukturach uczelni i wydziału, osiągała sukcesy i była za nie w różny sposób honorowana.

Występując o wysokie odznaczenie państwowe dla M. Sankiewicz chcemy dać wyraz swojemu uznaniu dla postawy życiowej Pani Docent, wzorców, które przekazywała swoim studentom, a także wdzięczności za wszystkie nieformalne działania podejmowane przez Nią dla dobra młodzieży akademickiej.

* * *

Marianna Sankiewicz urodziła się rodzinie ziemiańskiej, zdegradowanej przez rewolucyjną zawieruchę w Rosji. W latach dwudziestych XX wieku jej rodzice osiedlili się na Suwalszczyźnie i prowadzili schronisko turystyczne nad Wigrami. Z bogatej przeszłości pozostały wspomnienia i motywacja do zdobywania wiedzy. Choć w domu państwa Sankiewiczów nie było przepychu, a i dostatek nie był standardem, pani Marianna wychowała się w klimacie serdeczności i wsparcia dla biedniejszych, poszkodowanych przez los, potrzebujących pomocy. Przez jej rodzinny dom przewinęło się wiele

takich osób. Tę wszczepioną w młodości potrzebę wspierania słabszych pielęgnowała przez całe życie.

Pomoc, ofiarność, solidarność i bezinteresowność w życiu M. Sankiewicz ma wiele wątków. W czasie okupacyjnej poniewierki, w życiu prywatnym i zawodowym po wojnie. Aż po dziś dzień, kiedy od wielu lat Pani Docent przebywa na emeryturze. Ale my, absolwenci Politechniki Gdańskiej, pamiętamy i cenimy Ją najbardziej za to, co obserwowaliśmy lub czego doświadczyliśmy z Jej strony w murach uczelni, w okresie studiów. A było tego bardzo dużo. Nie jest przypadkiem, że wiele roczników studentów Wydziału Elektroniki do dziś nazywa Panią Docent „ciocią”, a w określeniu tym jest potężny bagaż ciepłą i wdzięczności. Bo była poważna, ale serdeczna i uśmiechnięta, wymagająca, ale wyrozumiała, stanowcza, ale cierpliwa i otwarta na argumenty, zabiegana, ale zawsze mająca czas dla młodzieży. Jej osobowość potrafiła porywać młodych ludzi, mobilizować do pracy społecznej, do ofiarności wobec innych. Tę moc ma Pani Docent w sobie do dziś, kiedy nas, absolwentów, inspirowała i organizowała do dzieła wspierania naszej Alma Mater oraz młodzieży aktualnie studiującej. Jej „wzorzec” oddziaływać będzie na nas jeszcze przez wiele lat, a może i uda się nam przekazać go następnym pokoleniom.

Bezinteresownej działalności Marianny Sankiewicz na rzecz napotykanym w życiu osób, a wymagających długotrwałej, zaangażowanej pomocy, nie sposób szczegółowo opisać, choćby dlatego, że lista tych, którym pomogła w pokonaniu zasadniczych trudności życiowych, obejmowałaby co najmniej kilkadziesiąt nazwisk. Udzielana pomoc była różnorodnego charakteru, miała rozmaite formy i okresy trwania. Poniżej przytaczamy zaledwie kilka przykładów niezwyklej postawy życiowej Pani Docent:

- Już jako dwudziestolatka, w czasie okupacji wzięła na siebie odpowiedzialność za „przemycenie” w transporcie z Wilna do Rzeszy, na roboty, trzech młodych Żydówek, którym groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Udało się, choć ryzyko, które podjęła, nazywało się: śmierć, albo obóz koncentracyjny.

- Po zakończeniu wojny natychmiast zaopiekowała się osieroconą córką przyjaciół, potraktowała ją jak własne dziecko; utrzymywała, wychowała i wykształciła.
- Poznany przypadkowo mężczyzna w wieku ok. 50 lat, alkoholik, wyznał przyczynę popadnięcia w nałóg (porzucenie przez żonę) i wynikłą sytuację życiową (bezdomność, brak skradzionych dokumentów tożsamości, brak środków do życia, gruźlica, amputowana nerka). Pani Sankiewicz zorganizowała mu zastępcze locum, odtworzyła dokumenty, uzyskała miejsce w szpitalu, po doraźnym poratowaniu zdrowia umożliwiła pracę zarobkową u prywatnych przedsiębiorców, uzyskała dlań rentę inwalidzką oraz miejsce w domu św. Alberta. Opiekowała się nim oraz wspierała finansowo łącznie przez 35 lat, aż po ostatni rok jego życia i po uczestnictwo w pogrzebie.
- Poznany w roku 1980, podczas wykonywania pracy technicznej w mieszkaniu Pani Docent, mężczyzna w wieku 52 lat, opowiedział dramatyczną historię aresztowania go w roku 1944 przez NKWD i zesłania do obozów pracy w Rosji, skąd zwolniono go w roku 1957 ze zniszczonym zdrowiem, zobowiązawszy do zachowania w tajemnicy wszystkich faktów dotyczących aresztowania. M. Sankiewicz przekonała go o bezprawnym charakterze takiego zobowiązania i uzyskała pełnomocnictwo do występowania w jego imieniu. Podjęła odpowiednie kroki u władz administracyjnych i sądowych w Polsce i w Rosji (w tym trwającą 5 lat korespondencję z obozami i prokuratorami rosyjskimi celem uzyskania potwierdzenia pobytu mężczyzny w poszczególnych obozach). Złożyła odpowiednie pozw sądowy i prowadząc osobiście postępowanie, uzyskała w roku 1999 wyrok Sądu Okręgowego w Gdańsku przyznający b. więźniowi odszkodowanie w wysokości kilkunastu tysięcy złotych. Po 19 latach nieustannego działania - satysfakcjonujący skutek.

- Przypadkowo poznani mieszkańcy jednej z miejscowości na Kaszubach zwrócili się do Pani Docent o poradę i pomoc w dostaniu się ich córki - maturzystki na studia medyczne w Gdańsku. M. Sankiewicz (tak jak to czyniła we wcześniejszych, podobnych sytuacjach maturzystów z Kaszub, kandydujących do studiów w Trójmieście) udostępniła jej bezpłatnie pokój w swoim mieszkaniu w Gdańsku oraz wyżywienie na czas trwania kursów przygotowawczych do wstępnego egzaminu konkursowego. Ponieważ kandydatka nie dostała się w tym roku na wymarzone studia, w kolejnym roku uzyskała podobna pomoc. Ale dziewczyna miała pecha i dopiero za czwartym razem sięgnęła po studencki indeks. Czterokrotnie w okresie uczęszczania na kursy przygotowawcze korzystała z bezinteresownej pomocy Sponsorki. Odpłaciła w jedynie oczekiwany przez Panią Docent sposób: ukończyła znakomicie studia i jest dobrym lekarzem.
- Kolejną podopieczną Marianna Sankiewicz poznała przez jej brata, któremu również pomagała wcześniej w studiach. Zachęciła ją, aby po uzyskaniu magisterium, kontynuowała studia podyplomowe. Wskazała uczelnię o profilu kształcenia (zaocznym) dopasowanym do wybranego przez absolwentkę zawodu. Ponieważ uczelnia taka mieściła się w Warszawie, na czas pobytu na wszystkich niezbędnych konsultacjach i egzaminach w całym dwuletnim okresie studiów, zapewniła kobiecie bezpłatne korzystanie z mieszkania znajomych w stolicy. Podopieczna ukończyła studia podyplomowe z bardzo dobrym wynikiem i jest cenioną nauczycielką w zakresie pedagogiki specjalnej.
- Pewien student, uczęszczający na specjalizację, nad którą Pani Docent sprawowała osobistą opiekę, odznaczał się wybitnymi zdolnościami, ale rzucało się też w oczy jego dziwne często zachowanie. Bezpośrednio przed egzaminem dyplomowym wystąpiło u niego załamanie psychiczne, które zmusiło do skierowania go na zamknięte leczenie w szpitalu psychiatrycznym. Marianna Sankiewicz współpracowała z psychiatrami

prowadzącymi leczenie i uzyskała możliwość przeprowadzenia eksperymentu poddania studenta egzaminowi dyplomowemu. Udany eksperyment wpłynął dodatnio na stan psychiczny dyplomanta, który opuścił szpital i przez pewien okres pracował zawodowo jako magister inżynier elektronik. Niestety, nastąpił nawrót choroby. Któregoś dnia przybył on do Gdańska, zapowiedziawszy... pogrzeb Pani Docent. Odwiedził ją w domu, gdy była sama, uzbroił się w nóż i doszłoby do tragedii, gdyby nie wymknęła się w ostatniej chwili z mieszkania. Mimo to odwiedzała go w szpitalu psychiatrycznym w Świeciu n/Wisłą, próbując ulżyć losowi jego i jego matki. Dodajmy, że aż pięciu chorych na schizofrenię studentów Wydziału Elektroniki PG cieszyło się w okresie studiów osobistym zainteresowaniem oraz opieką Pani Docent i pomyślnie ukończyło studia.

- W latach siedemdziesiątych ub. wieku na Wydziale Elektroniki PG studiowało kilkudziesięciu Wietnamczyków. Mieli szereg problemów: z językiem polskim, z asymilacją w środowisku, z przyswajaniem wiedzy, a do tego jeszcze ze służbami specjalnymi komunistycznego Wietnamu. Pani Docent, wtedy prodziekan Wydziału, z tytułu obowiązków służbowych organizowała im wszelkiego rodzaju pomoc. Ale jedynie z moralnej potrzeby wielokrotnie osłaniała ich przed restrykcjami dyktatorskiej władzy z Hanoi. „Nieposłuszeństwo” (np. kolorowa koszula, oglądanie telewizji, przyjazne stosunki z polskimi kolegami, jakakolwiek krytyka itp.) karane było drastycznie: bicie, porywanie bez wiedzy władz uczelni i odsyłanie do kraju, aż po lokowanie w karnych obozach w kopalniach. Była zawsze po stronie tych, którzy Jej zaufali. Doprowadziła m.in. do wyeliminowania „kapusia” z grupy wietnamskiej, do pozostawienia w uczelni kilku studentów, którzy mieli „wyrok” deportacji do kraju, w tym jednego, po którego przyszli w dniu obrony jego pracy dyplomowej. Nie udało Jej się ustrzec przed deportacją wietnamskiego doktoranta. Został

siłą zabrany, a wiedząc, co czeka go w ojczyźnie, wyskoczył z pociągu wiozącego go na wschód. Przeżył, a przy pierwszej okazji poprosił, aby zatelefonowano do M. Sankiewicz. Zanim ambasada Wietnamu wszczęła poszukiwania zbiega, Pani Docent zorganizowała jego przewóz do Gdańska i bezpieczną kryjówkę. Przy Jej wsparciu udało mu się zrobić doktorat i zostać w Polsce na stałe.

- Stan wojenny w Polsce zwielokrotnił zapotrzebowanie studentów na pomocne działania Marianny Sankiewicz. Pełniła wtedy, z pierwszego demokratycznego wyboru, funkcję prorektora uczelni ds. kształcenia. 13 grudnia 1981 roku szereg studentów PG, w szczególności działacze Niezależnego Zrzeszenia Studentów, trafiło do miejsc internowania. Pani Docent odwiedzała ich w Strzebielinku, zabiegała o ich wypuszczenie. W późniejszych miesiącach polityka z udziałem studentów rozgrywała się często na ulicach Gdańska. W konsekwencji trafiali oni do aresztu. W Starogardzie przez dłuższy okres przebywało 36 aresztowanych studentów. Władze naciskały na ich relegowanie z uczelni. Dzięki zabiegom, a nawet fortelom Pani Prorektor, nie tylko nie zostali skreśleni, ale do ich cel trafiały dary (żywność, słodycze, środki czystości itp.) przekazywane wtedy hojnie m.in. Politechnice przez ks. prałata Henryka Jankowskiego.
- Uwolnienie od zarzutów i wypuszczenie z aresztu zawdzięcza Pani Docent kilku studentów PG, posądzonych o pobicie milicjantów w jakiejś utarczce ulicznej po pochodzie pierwszomajowym roku 1982. Zaangażowała w to nie tylko osobisty autorytet, ale również prywatne koneksje, znajomości z ludźmi władzy, którzy – znając jej szlachetność i bezinteresowność – docenili i uszanowali Jej zabiegi. Zresztą w tym czasie wielokrotnie ujmowała się za niepokornymi studentami, rozumiejąc tę młodzieńczą cechę i chcąc ustrzec swoich podopiecznych przed drastycznymi konsekwencjami, rzutującymi na całą drogę życiową.

- W styczniu 1982 r. Pani Prorektor interweniowała u admirała Ludwika Janczyszyna - ówczesnego dowódcy Marynarki Wojennej i członka WRON - w sprawie uwolnienia studentów internowanych w czasie stanu wojennego i restrykcyjnego postępowania Sądu Marynarki Wojennej. W spotkaniu brał także udział rektor PG, profesor Jerzy Doerffer, oraz działacze studenccy: Tomasz Bartoszek i Leszek Pacuła.
- W marcu 1982 r. Pani Prorektor interweniowała u generała Jerzego Andrzejewskiego - ówczesnego Komendanta Wojewódzkiego MO w Gdańsku - w sprawie uwolnienia studentów zatrzymanych przez milicję. W tej wizycie również uczestniczyli nasi koledzy: Tomasz Bartoszek oraz Leszek Pacuła.
- W marcu 1983 r. Pani Prorektor interweniowała u generała Mieczysława Cygana - ówczesnego Wojewody Gdańskiego - w sprawie uwolnienia studentów zatrzymanych przez milicję oraz zapewnienia nienaruszalności przez wojsko i milicję terenu Politechniki i osiedla studenckiego. Obecni byli koledzy: Tomasz Bartoszek oraz Leszek Pacuła.
- Jeszcze kilka lat temu, już będąc na emeryturze, opiekowała się pewnym studentem z Afryki. Przekazała mu sprzęty na wyposażenie pokoju w domu studenckim, finansowała przez okres studiów, służyła radą i pomocą. We wcześniejszych latach też poświęcała wiele prywatnego czasu i pieniędzy na pomoc studentom z tej części świata.
- Od wielu lat Marianna Sankiewicz współpracuje ze środowiskiem absolwentów PG, w szczególności z wychowankami Wydziału ETI. Była inicjatorem i organizatorem wielu naszych przedsięwzięć na rzecz studiującej młodzieży oraz uczelni. Wielokrotnie absolwenci prowadzący różne dobrze prosperujące firmy czynili darowizny, z których Pani Docent dofinansowywała wyjazdy zagraniczne studentów WETI na konferencje naukowe i staże. Aktualnie, z inicjatywy M. Sankiewicz, wspieramy finansowo organizowaną przez Nią

rekonstrukcję i restaurację historycznej fasady Gmachu Głównego Politechniki Gdańskiej.

* * *

To zaledwie kilka przykładów z długiej listy „dobrych uczynków” Marianny Sankiewicz. Jesteśmy głęboko przekonani, że Jej dorobek życiowy, ziarno, które posiała w sercach i umysłach pokoleń politechnicznej młodzieży, zasługuje na najwyższe uznanie.

Rekomendacje do odznaczenia



Gdańsk, 8 marca 2010 r.

REKTOR
POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

R-192/2010

Szanowny Pan
Lech Kaczyński
Prezydent
Rzeczypospolitej Polskiej

Szanowny Panie Prezydencie,

Z całkowitym przekonaniem i pełną odpowiedzialnością gorąco popieram inicjatywę Stowarzyszenia Absolwentów Politechniki Gdańskiej i proszę Pana Prezydenta o nadanie pani docent Mariannie Sankiewicz Krzyża Oficerskiego Orderu Odrodzenia Polski.

Pani Docent przez lata pełniła funkcje prodziekana do spraw studenckich na Wydziale Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki w latach 1962-1981 oraz prorektora odpowiedzialnego za sprawy studentów w całej Uczelni w latach 1981-1984. Trudno w kilku zdaniach pokazać Jej ofiarność, zaangażowanie i serce oddane swojej pracy.

Chciałbym zaakcentować bardzo istotne powody mojej prośby skierowanej do Pana Prezydenta. Pani Marianna Sankiewicz kieruje się w życiu bardzo cenną zasadą poszanowania prawdy i otwartość na potrzeby innych. Była obrończą studentów przed represjami stanu wojennego. Posiada ogromny autorytet wśród absolwentów macierzystego wydziału. Jej absolwenci podejmują wiele inicjatyw na rzecz uczelni i całego regionu. Jest to niespotykany przykład współpracy między różnymi pokoleniami.

Chciałbym również nadmienić, że w tym roku Politechnika Gdańska obchodzi 65-lecie swojej działalności. Uhonorowanie Pani Marianny Sankiewicz zaszczytnym odznaczeniem byłoby wielką satysfakcją dla oceny naszych absolwentów.

Z głębokimi wyrazami szacunku
pozostaje z poważaniem

prof. dr hab. inż. Henryk Krawczyk
prof. zw. PG

POLITECHNIKA GDAŃSKA
REKTOR

ul. G. Narutowicza 11/12 • 80-233 Gdańsk • tel.: 58 347 12 69
fax: 58 347 27 47 • e-mail: rektor@pg.gda.pl • www.pg.gda.pl



STOWARZYSZENIE ABSOLWENTÓW POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

Gdańsk, 10 marca 2010 roku

Szanowny Pan
Prezydent
Rzeczypospolitej Polskiej
prof. dr hab. Lech Kaczyński

Szanowny Panie Prezydencie,

Niewiele jest pośród nas osób o tak dużej wrażliwości i dobroci....

Zwracam się do Pana Prezydenta o przyznanie Krzyża Oficerskiego Orderu Odrodzenia Polski- Order OP kl. IV Pani Profesor Mariannie Sankiewicz, wychowawcy wielu pokoleń naszych absolwentów.

Występując o wysokie odznaczenie państwowe dla Pani Profesor chcemy dać wyraz swojemu uznaniu dla Jej postawy życiowej, wzorców, które przekazywała swoim studentom a także wdzięczności za wszystkie podejmowane przez Nią działania dla dobra młodzieży akademickiej.

Pani Profesor, emerytowany pracownik naukowy i nauczyciel akademicki Politechniki Gdańskiej kończy w tym roku 89 lat, Politechnika Gdańska świętuje zaś 65 rocznicę powstania.

Minione 65 lat to splecione dzieje obu tych dam, Pani Profesor od pierwszych dni towarzyszy naszej uczelni. Chcielibyśmy obchody rocznicowe uświetnić wręczeniem Orderu Szanownej Nestorce.

Prosimy zatem Pana Prezydenta o przychyłność dla naszego wniosku.


(-) Jan Zarębski

Przewodniczący Zarządu Stowarzyszenia Absolwentów Politechniki Gdańskiej



ul. G. Narutowicza 11/12, 80-952 Gdańsk, tel: (0-4858) 347-22-26, fax: (0-4858) 341-58-21,
www.pg.gda.pl, e-mail: sap@pg.gda.pl PKO BP SA II O/Gdańsk 33 1020 1811 0000 0702 0096 6531
NIP: 957-08-05-805 REGON 192545791

Gdańsk, 2 lutego 2010 roku

Szanowny Pan
Prezydent
Rzeczypospolitej Polskiej
Profesor Lech Kaczyński

Szanowny Panie Prezydencie,

Pani Profesor Marianna Sankiewicz jest osobą o wielkim sercu dla innych ludzi. Jej oddanie w pracy idzie w parze z oddaniem dla spraw i problemów tych, których podjęła się reprezentować.

Pani Profesor pełniła funkcje prorektora odpowiedzialnego za studentów w trudnych czasach stanu wojennego. Przez cały ten trudny okres była z nami, swoimi studentami.

Nie liczyła czasu poświęcanego na poszukiwania miejsca w którym 13 grudnia 1981 roku zostaliśmy internowani. Nie żałowała trudu, żeby pojawić się w wigilię tego roku w Strzebielinku z dobrym słowem i wsparciem moralnym.

Jej dusza pedagoga pozwoliła na zorganizowanie nam możliwości chociażby namiastki nauki nawet w tak trudnych warunkach w jakich się znaleźliśmy.

Była zawsze ze studentami, jej ofiarność wychodziła niejednokrotnie poza granice, które dla wielu innych były nie do przekroczenia. W swoich działaniach kierowała się troską o innych a nie kalkulacją o swoją karierę.

Dlatego nie dziwi fakt, że to właśnie absolwenci występują do Pana Prezydenta o nadanie honoru wysokiego odznaczenia.

W pełni łączę się z inicjatywą Stowarzyszenia Absolwentów Politechniki Gdańskiej i proszę Pana Prezydenta o nadanie pani profesor Mariannie Sankiewicz Krzyża Oficerskiego Orderu Odrodzenia Polski.

Z głębokimi wyrazami szacunku

Pozostając z poważaniem

Przewodniczący NZS Politechniki Gdańskiej w latach 1980-1982

Jerzy Kobylinski

Akt nadania odznaczenia

POSTANOWIENIE PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

z dnia 5 stycznia 2011 r.

o nadaniu orderów

(M.P. z dnia 29 kwietnia 2011 r.)

Rej. 3/2011

Na podstawie art. 138 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 2 kwietnia 1997 r. oraz ustawy z dnia 16 października 1992 r. o orderach i odznaczeniach (Dz. U. Nr 90, poz. 450, z 1999 r. Nr 101, poz. 1177, z 2000 r. Nr 62, poz. 718, z 2002 r. Nr 74, poz. 676, z 2006 r. Nr 104, poz. 708 i 711 i Nr 194, poz. 1432, z 2007 r. Nr 25, poz. 162 i Nr 123, poz. 848, z 2009 r. Nr 168, poz. 1323 oraz z 2010 r. Nr 155, poz. 1041) odznaczona zostaje:

za wybitne zasługi w pracy naukowo-dydaktycznej i działalności organizacyjnej, za niezłomną postawę w niesieniu pomocy osobom potrzebującym

**KRZYŻEM KOMANDORSKIM
ORDERU ODRODZENIA POLSKI
Sankiewicz - Budzyńska Marianna**

RZECZPOSPOLITA POLSKA

POSTANOWIENIEM

dnia 5 stycznia 2011 r.

LEGITYMACJA

Pani Marianna

SANKIEWICZ-BUDZYŃSKA

odznaczona została

Nr 3-2011-1

**KRZYŻEM KOMANDORSKIM
ORDERU ODRODZENIA POLSKI**

Warszawa
dnia 5 stycznia 2011 r.



PREZYDENT
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

A handwritten signature in black ink, belonging to Bronisław Komorowski.

Bronisław Komorowski

Wręczenie odznaczenia przez Wojewodę Pomorskiego nastąpiło 3 października 2011 roku, podczas uroczystej inauguracji roku akademickiego 2011/2012 w Politechnice Gdańskiej

Pani Rektor

W połowie maja 1981 roku odbyły się w Politechnice Gdańskiej pierwsze po wojnie demokratyczne wybory rektora i prorektorów, a więc kierownictwa Uczelni na kadencję 1981/1984. Nikt wówczas nie przypuszczał, że będzie to jedna z najtrudniejszych kadencji, w której walka o autonomię uczelni, o pracowników i o studentów była walką rzeczywistą, wymagającą przede wszystkim zajęcia przez kierownictwo Uczelni takiego stanowiska, które pozwoliłoby, jeśli już nie na wygranie tej walki, to co najmniej na niedopuszczenie do znaczących lub bolesnych strat.

Rektorem wybrany został profesor Jerzy Doerffer, który zaproponował ostatecznie na stanowiska prorektorów profesor Mariannę Sankiewicz, profesora Olgierda Gzowskiego i moją skromną osobę. W dniu 1 września 1981 roku objęliśmy oficjalnie nasze „urzędy”, próbując wypełnić obowiązki, jakie były z objętymi urzędami związane.

Naszą jedyną koleżankę w kierownictwie Uczelni zgłosił rektor na stanowisko prorektora ds. kształcenia. Mogę na pewno, bez żadnych wątpliwości powiedzieć, że była osobą najlepiej z nas wszystkich przygotowaną do pełnienia nowej roli. Przecież od 1960 roku powoływana była przez sześć kadencji na Wydziale Łączności, przemianowanym w roku 1967 na Wydział Elektroniki, na prodziekana do spraw studenckich. Pełniła tę funkcję w sumie przez 17 lat, przy czym doprowadziła do tego, że pod koniec lat siedemdziesiątych połączono stanowiska prodziekana ds. studenckich i prodziekana ds. nauczania, tworząc stanowisko prodziekana ds. kształcenia. Wychodziła w tym przypadku z założenia, że przekazywanie wiedzy i wychowanie w uczelni są procesami, które muszą przebiegać równocześnie i wzajemnie się przenikać. Ponadto uważała, że uczelnia kształci oraz przygotowuje studenta nie tylko do życia zawodowego, ale także do życia społecznego, wobec czego piecza nad powyższymi procesami powinna być w jednym ręku.

Przed okresem wyborów mało znałem Panią Rektor. Na stanowisko prorektora byłem zgłoszony jako ostatni z całej trójki – nie pełniłem jeszcze żadnych funkcji tak w kierownictwie wydziału, a tym bardziej Uczelni. Profesor Doerffer, wybrany rektor, zwrócił na mnie uwagę chyba tylko dlatego, że zostałem wybrany właśnie na kadencję 1981/1984 dyrektorem Instytutu Hydrotechniki, będącego na prawach wydziału. Zaprosił mnie na rozmowę, która trwała bardzo długo – dyskutowaliśmy głównie o przyszłej organizacji naszej Uczelni. Wspominam tę rozmowę dlatego, że rektor przedstawił mi proponowaną przez niego liczbę prorektorów i uzgodnioną z kandydatami obsadę stanowiska prorektora ds. kształcenia oraz prorektora ds. nauki. Przy omawianiu obsady stanowiska prorektora ds. kształcenia zwrócił moją uwagę przede wszystkim na wieloletnie i bardzo owocne doświadczenia pani profesor Sankiewicz w zakresie prowadzenia spraw kształcenia, czy w ogóle spraw studenckich. Rektor tłumaczył, że przyszła Pani Prorektor ma do studentów



Inauguracja roku akademickiego 1982/1983

stosunek – można by powiedzieć – macierzyński, a z drugiej strony oni poczuwają się do pewnej rycerskości, co oznacza, że nie powinni robić Jej większych utrudnień. Były to bardzo prorocze słowa, gdyż miało się wkrótce okazać, jak „*macierzyństwo*” i „*rycerskość*” wyglądały w wymuszonej trudną sytuacją rzeczywistości.

Moje wywody na temat organizacji uczelni, wzorowanej na jednostkach organizacyjnych, czyli wydziałach, stanowiących pewnego rodzaju centra rozliczeniowe, a więc wydziałach działających samodzielnie oraz gospodarujących w pełni przyznanymi i zdobytymi własnymi środkami finansowymi, nie znalazły od razu u rektora akceptacji. Rozeszliśmy się z przekonaniem, że się spotkamy w nowych rolach na rozpoczęciu roku akademickiego. Wielkie było moje zdziwienie, gdy późnym wieczorem zadzwonił do mnie profesor Doffer i oznajmił, że chce mi powierzyć stanowisko prorektora ds. organizacyjnych i pierwszego zastępcy rektora. Piszę o tym dlatego, że poprzez powierzenie mi między innymi zagadnień inwestycyjnych i modernizacyjnych Uczelni, utrzymywania kontaktów z władzami wojewódzkimi i miejskimi, spraw administracji i kwestury, budżetu i finansów, problematyki kadrowej pracowników administracyjnych oraz spraw organizacyjnych, stałem się stroną w różnego rodzaju działaniach prorektoratu do spraw kształcenia, prowadzonego przez Panią Rektor. Ale ustaliliśmy oboje, chyba w sposób rozsądny, pełen zakres naszej odpowiedzialności i muszę z wielką radością oraz satysfakcją stwierdzić, że przez całą naszą kadencję nie doszło między nami do żadnych zdrażeń, sporów czy też szukania pomocy w naszych wspólnych sprawach u rektora. A po rozpoczęciu naszego urzędowania w dniu 1 września 1981 roku zaczęły się bardzo trudne czasy, wymagające podejmowania decyzji, które na pewno wszystkich nie satysfakcjonowały.

Mimo, że Pani Rektor podlegali wszyscy pracownicy nauki, asystenci i adiunkci, musieliśmy wspólnie toczyć boje o niektórych pracowników, szczególnie, że związki zawodowe uzurpowały sobie prawo nie tylko do kontrolowania naszych decyzji, ale również prawo do wpływania na ich ostateczną postać. Dochodziło do ostrych

dyskusji w sprawie odpowiedzialności za pracowników i Uczelnię, gdyż niektórym przedstawicielom tych związków wydawało się, że można dalej, tak jak się to działo w okresie na szczęście mijającym, nakłaniać do określonych decyzji za plecami formalnych decydentów, jednak bez brania na siebie jakiegokolwiek odpowiedzialności. Wspominam z wielkim uznaniem Panią Rektor, która bardzo ściśle współpracowała ze mną tak, że mogliśmy dobrać odpowiedni personel podległych jej jednostek organizacyjnych, gdyż poprzedni był dość silnie związany z ustępującą awangardą polityczną.

Nie wchodząc w ocenę początków naszego urzędowania, a więc okresu wrzesień-grudzień 1981 roku, pragnę jedynie podkreślić, że udało się nam rozpocząć bez problemów rok akademicki 1981/1982, uruchomić wszystkie zajęcia i zapewnić możliwe, jak na owe czasy, wyposażenie służące głównie celom dydaktycznym. Niestety, w dniu



Kierownictwo Politechniki Gdańskiej w kadencji 1981 - 1984. Od prawej stoją: prof. Olgierd Gzowski, doc. Marianna Sankiewicz, rektor, prof. Jerzy Doerffer i prof. Bolesław Mazurkiewicz

13 grudnia 1981 roku prawidłowe funkcjonowanie Uczelni stało się niemożliwe i musiało ulec przerwaniu. Wprowadzony został stan wojenny, oznaczający przede wszystkim pozbawienie praw obywatelskich Polaków. Spowodowało to mobilizację tych wszystkich, którzy protestowali przeciw konsekwencjom stanu wojennego, jak i również tych, którzy podbudowani ideami „Solidarności”, walczyli o nową i lepszą Polskę. Dla kierownictwa Uczelni, działającego w warunkach stanu wojennego, najważniejszymi stały się problemy opieki nad młodzieżą akademicką, a więc jej ochrona przed represjami ze strony władz wojskowych i milicyjnych. Jak ważny był to problem może świadczyć fakt, że w początkach stanu wojennego za rzekome przestępstwa i wykroczenia przeciw obowiązującym wówczas drakońskim przepisom, w więzieniach i aresztach znalazło się ponad dwustu studentów naszej Uczelni. Dla Pani Profesor było to szczególnie bolesne. Jej studenci, walczący tak jak kiedyś Ona, w czasie wojny i po wojnie, o lepsze i sprawiedliwe jutro, zostają aresztowani, internowani i uwięzieni. Czuła się cały czas odpowiedzialna za tych studentów, przy czym odpowiedzialność ta rozciągała się także poza granice naszej Uczelni. Wiele można by było napisać o podjętych przez Nią działaniach, mających na celu nie tylko uwolnienie więzionych studentów, ale również udzielania uwięzionym różnego rodzaju pomocy w tym także żywnościowej.

Podjęmowane przez Panią Rektor działania koncentrowały się głównie na dotarciu do uwięzionych studentów, zapoznaniu się z przyczynami ich aresztowania oraz przeprowadzaniu z aresztowanymi rozmów na temat sposobów ich traktowania, ich poziomu życia, z jednoczesnym udzielaniem im moralnego wsparcia i określonej pomocy prawnej. Zdobyte informacje wykorzystywała w niezliczonych interwencjach, których adresatami byli ówcześni „władcy”, a więc komendant wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej, pierwszy sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR oraz wojewoda, którym został generał wojsk lądowych. Godne podkreślenia jest to, że – przykładowo – w pierwszym półroczu 1982 roku interweniowała ponad sto pięćdziesiąt razy, uzyskując zwolnienie swoich pokrzywdzonych studentów. Należy tutaj podkreślić, że przepisy stanu

wojennego nałożyły na kierownictwo Uczelni obowiązek skreślenia z listy studentów tych, którzy nie przestrzegali obowiązującego w stanie wojennym regulaminu studiów. A co dopiero miało się dziać w odniesieniu do studentów aresztowanych, więzionych czy internowanych. Dzięki działaniom przede wszystkim naszej Pani Rektor, kary zostały bardzo zminimalizowane i większość studentów mogła studia kontynuować. Trzeba też podkreślić pełne poświęcenia wyjazdy w ciężkich warunkach zimowych Pani Profesor z Jej mężem, profesorem Gustawem Budzyńskim, do miejsc internowania. Tam przekazywała internowanym – poza najświeższymi informacjami – żywność, środki czystości, a przede wszystkim wiarę, iż ich poświęcenie nie idzie na marne.

W tym miejscu wypada również wspomnieć o wydarzeniu, które nas bardzo dotknęło, a które było przyczyną potraktowania nas co najmniej jako kolaborantów, a więc jako osoby współpracujące z ówczesnymi władzami. Otóż, już 14 grudnia 1981 roku zaczęto odwoływać demokratycznie wybranych rektorów, między innymi: Uniwersytetu Gdańskiego w osobie profesora Głębockiego, Akademii Medycznej w osobie profesora Żydowo i Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni w osobie profesora Kosteckiego. A naszą czwórkę pozostawiono na swoich stanowiskach. Musiało się nasuwać pytanie: dlaczego? Oczywiście do dzisiaj odpowiedzi na to pytanie nie otrzymaliśmy. Muszę stwierdzić, że skomplikowało to nam sytuację. Nie pamiętam dokładnie, kiedy mieliśmy w tej sprawie odzew ze strony naszych studentów czy też pracowników. Odzew ten polegał na wieszaniu na gmachach Politechniki nekrologów zawiadamiających o skończeniu życia przez rektora, profesora Doerffera, a w miejscu jego zamieszkania na wymalowaniu napisów o treści „*Doerffer kolaborant*”. Trzeba to było wszystko w milczeniu przeżyć. Przecież wszyscy solidaryzowaliśmy się z naszymi nominalnymi „*przeciwnikami*”.

Na zakończenie wypada wspomnieć jeszcze o jednym wydarzeniu, które zapisało się pod nazwą „*Wesoły autobus*”. Otóż, studenci Wydziału Architektury w lipcu 1982 roku brali udział w wycieczce

mającej na celu zwiedzenia średniowiecznej architektury na Dolnym Śląsku. Gdy dotarli do Karpacza, udekorowali autobus niedozwolonymi wówczas hasłami oraz flagami „Solidarności”. Autobus ten namierzyła milicja i zmusiła (po swego rodzaju przesłuchaniu) uczestników wycieczki do usunięcia dekoracji i natychmiastowego powrotu do Gdańska. Całe wydarzenie zostało, niestety, zgłoszone przez milicję wszystkim możliwym władzom i zrobiła się ogólnopolska afera, w sprawie której zaczęli się niezwykle wrogo wypowiadać najwyżsi ówcześni władcy, z generałem Jaruzelskim na czele. Nakazywali natychmiastowe wydalenie z Uczelni biorących udział w wycieczce studentów i opiekujących się nimi nauczycieli akademickich. Zaczęła się długa i bardzo karkołomna walka o uratowanie tak studentów, jak i pracowników. Można tutaj stwierdzić, że dzięki wyjątkowemu zaangażowaniu w tej sprawie pana rektora Doerffera oraz pani prorektor Sankiewicz, doprowadzono do czasowego zawieszenia tylko czterech studentów oraz jednego pracownika dydaktycznego. Cała sprawa zakończyła się przywróceniem zawieszonym w lutym 1983 roku studentom pełnych praw, a w wyniku amnestii, w marcu 1983 roku również pracownikowi dydaktycznemu. Muszę się przyznać, że uczestniczyłem również w niezwykle poniżających nas spotkaniach z władzami i byłem pełen podziwu dla Pani Rektor za Jej wytrwałość w działaniach, których celem było umożliwienie studentom normalnego studiowania.

Dalsze lata naszej kadencji były spokojniejsze. Studenci, którzy mieli jakiegokolwiek problemy korzystali z dobrego serca naszej Pani Rektor. Była bardzo szczęśliwa, gdy udawało się zagrożonego studenta uchronić przed koniecznością opuszczenia murów naszej uczelni. Osobiście byłem Pani Rektor bardzo wdzięczny, gdyż mogłem wywiązać się z moich dość poważnych obowiązków, szczególnie w odniesieniu do spraw pracowniczych, również bez narażania kogokolwiek na przykrości. Wspominam trzy lata naszej bezpośredniej współpracy z dużym wzruszeniem i gorącym podziękowaniem za wprowadzanie mnie dość często na właściwe tory. Było to bardzo cenne wówczas, gdy musiałem podejmować decyzje w zakresie określonym w moich obowiązkach bardzo ogólnie jako sprawy

organizacyjne. Czuję jeszcze do dzisiaj twarde deski ławek ustawionych w gabinecie Pani Rektor, na których siadałem do często bardzo długich rozważań na temat „*co robić dalej*”?

Z okazji jubileuszu Pani Profesor życzę nie tylko wspaniałego zdrowia, ale również czasu na napisanie wspomnień z bardzo trudnego okresu pełnienia przez Nią stanowiska prorektora ds. kształcenia Politechniki Gdańskiej. Wierzę głęboko, że otrzymalibyśmy niezwykle rzetelny opis wszystkich wydarzeń, które miały miejsce w naszej Uczelni w ponurym okresie stanu wojennego. Osobiście jestem bardzo szczęśliwy, że znalazłem się w gronie przyjaciół Pani Rektor.

Prof. dr hab. inż. Bolesław Mazurkiewicz

Madame Curie

Uznawany jestem za nestora zespołu dziennikarskiego gdańskiego Radia (licząc od daty zatrudnienia), ale gdzie mi tam do pani Marianny – bezkonkurencyjnej rekordzistki nie tylko działu technicznego, lecz także całej rozgłośni.

Gdy we wrześniu 1950 roku zaczynałem swą pracę przy Grunwaldzkiej 18 we Wrzeszczu, młoda, świeżo po studiach pani magister inżynier miała już za sobą 5 pracowitych pionierskich lat przy budowaniu technicznych fundamentów naszej firmy.

Długo Jej nie dostrzegałem, jakoś mijaliśmy się, pracując w różnych budynkach i w różnych odległych od siebie dziedzinach radiowej roboty.

Była dla mnie obiektem mało realnym – „madame Curie”, jak ją nazwałem ze względu na Jej ogromne podobieństwo do naszej noblistki, na charakterystyczny sposób uczesania i owal twarzy.

I taka neutralna, lecz życzliwa koegzystencja trwała latami, dopóki do świadomości zalatanego reportera sportowego nie zaczęły docierać informacje o działaniach i zasługach pani docent Marianny Sankiewicz, z którymi, chcąc nie chcąc, musiałem się na co dzień stykać.

W radio dobra współpraca dziennikarza z technikiem (z nagrań, z transmisji czy emisji) jest podstawowym warunkiem dla stworzenia poprawnego i strawnego dla słuchacza produktu. Otóż, w miarę upływu czasu, z przyjemnością stwierdzałem, że jest coraz lepiej, że rośnie wiedza i profesjonalizm moich młodziutkich z reguły technicznych partnerów, od których zresztą sam wiele się mogłem nauczyć.

Było to po prostu wynikiem dobrze zorganizowanej, mądrej i cierpliwej pracy pani Marii, która przecież przez długie lata była szefową szkolenia technicznych kadr rozgłośni, nie tylko gdańskiej.

W długiej litanii zasług naszej Jubilatki, tę właśnie działalność postawiłbym na pierwszym miejscu.

A przecież równie wysoko trzeba ocenić stałą skuteczną i wieloletnią współpracę rozgłośni z Wydziałem Elektroniki Politechniki Gdańskiej, której głównym, nieustrudzonym architektem była właśnie Pani Docent, a takim najbardziej namacalnym efektem tej współpracy było znakomicie wyposażone, wspólne i służące obu instytucjom studio stereofoniczne – ostatni w owym czasie krzyk nowoczesności w polskiej elektroakustyce. Studenci zdobywali tam wiedzę, a Radio Gdańsk nagrywało i nadawało stamtąd wiele, doskonałej technicznie jakości, koncertów muzycznych.



W gdańskiej rozgłośni Polskiego Radia. Lata sześćdziesiąte

Miała Pani Docent niezrównany dar pozyskiwania dla tych inicjatyw i propozycji wielu ważnych ludzi, tzw. decydentów z warszawskiej centrali, którzy łatwo ulegali Jej naukowemu autorytetowi w dziedzinie radiowej techniki. To właśnie dzięki Jej nieustępliwości, w zakulisowych często działaniach i dyskusjach, rozgłośnia nie



DYPLOM

Ob. Marianna Sankiewicz
wyrazy uznania i podziękowania
za długoletnią, ofiarną pracę i działalność
w Rozgłośni Polskiego Radia w Gdańsku
w XXXV rocznicę
polskiej radiofonii na wyzwolonym Wybrzeżu

Przewodniczący RZ

Naczelny Redaktor



I Sekretarz POP PZPR

Gdańsk, 22 lipca 1980 r.

miała nigdy kłopotów z dostawami niezbędnego i nowoczesnego sprzętu.

Kiedy w latach 80. narastała w rozgłośni coraz większa ciasnota, a stropy trzeszczały pod ciężarem przeładowanej taśmoteki, jako ówczesny redaktor naczelny podjąłem decyzję o wybudowaniu czegoś prowizorycznego w zapuszczonym ogrodzie, na tyłach budynku przy Grunwaldzkiej. I wtedy wzięła sprawę w swoje niezawodne ręce pani docent Sankiewicz. Szybko wywalczyła fundusze, wypatrzyła pawilonowy obiekt o lekkiej, drewnianej konstrukcji, załatwiła transport z Legionowa do Gdańska i w ciągu niewielu miesięcy gdańskie Radio powiększyło się o ładnych kilkaset metrów kwadratowych powierzchni, które dobrze służyły nam do czasu wybudowania nowej rozgłośni. Ale jeszcze przedtem trzeba było stoczyć ostrą wojenkę z sąsiadem – Teatrem Miniatura, który nie wiadomo dlaczego z głupia frant zgłosił swoje roszczenia do naszego ogrodu. I tę wojenkę wspólnie z panią Marią wygraliśmy.

Jeszcze długo można by wspominać i wyliczać wszystkie sukcesy Jubilatki na naszym gdańskim radiowym podwórku. I wcale nie dziwi, że było ich aż tyle, bo niewiele jest nazwisk, które tak długo i jednoznacznie kojarzone były z gdańską rozgłosną. Naczelnicy inżynierowie, czyli dyrektorzy techniczni, a wśród nich takie znamienite osobowości jak Jan Barkit, Alfred Daun czy Tadeusz Karolczak przemijali, a pani docent Marianna Sankiewicz trwała niezmiennie jak opoka, na której rosły całe pokolenia zasłużonych ludzi gdańskiej techniki radiowej.

Jerzy Gebert

Zarażała szlachetnością...

Z satysfakcją wpisuję się do wydawnictwa poświęconego uhonorowaniu pięknego jubileuszu pani Profesor Marianny Sankiewicz – człowieka, który pozostawił ślad swojej życiowej posługi w umysłach i postawach wielu pokoleń studentów Politechniki Gdańskiej.

Studia rozpocząłem w 1979 roku w Instytucie Hydrotechniki PG. Rok później nastąpił pamiętny Sierpień'80. Zaangażowałem się w tworzenie Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Moja aktywność przesądziła, że niebawem stanąłem na czele organizacji uczelnianej. To był czas nadziei i marzeń o wielkich przemianach. W Politechnice odbyły się pierwsze w historii PRL wybory władz uczelni. W Senacie studenci uzyskali znaczącą część mandatów. Grono rektorskie wybierane było w wolnych wyborach. Wtedy to poznałem panią Profesor.

Choć dotychczas związana była wyłącznie z wydziałem Elektroniki (dziś WETI), jej postać znana była studentom i naukowcom pracującym na innych wydziałach. Z jak najlepszej strony. Nie znałem jeszcze wtedy Jej pięknego życiorysu, ale w gronie kolegów – senatorów i posłów do Uczelnianego Parlamentu PG – kształtowałem opinię o Jej walorach ludzkich i menedżerskich. W rywalizacji o gronostaje prorektora do spraw kształcenia PG pani Profesor uzyskała największą ilość głosów. To był czas moich częstych kontaktów z Jubilatką.

Ale – jak wiadomo – nie był długi... Wprowadzenie stanu wojennego zmieniło radykalnie sytuację. 13. grudnia zostałem internowany w Strzebielinku. Wraz ze mną na odosobnienie zesłano jeszcze trzech innych kolegów – działaczy NZS w Politechnice. Naszym środowiskiem na kilka miesięcy stali się internowani działacze Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” i z rejonu Trójmiasta. Kontakt z uczelnią został przerwany.

W Sylwestra, albo w Nowy Rok 1982 dotarły do nas paczki z żywnością, środkami czystości, książkami i łakociami. Dowiedzieliśmy się też, że dary te przywiozła nam pani Profesor, prorektor naszej Alma Mater, ale nie wpuszczono Jej na widzenie. Jednak informacja o tym, że władze uczelni interesują się naszym losem była dla nas w tej trudnej sytuacji bardzo krzepiąca.

Po jakimś czasie pani Profesor ponownie przyjechała do Strzebielinka. Tym razem umożliwiono Jej rozmowę z nami. Padło wiele ciepłych, pokrzepiających słów, zapewnienie, że władze uczelni podejmują starania o uwolnienie nas, także zachęta do kontynuowania samodzielnej nauki w ośrodku internowania. Otrzymaliśmy niezbędne podręczniki, a ja mogłem zamieszkać w celi dwuosobowej, abym miał lepsze warunki do nauki.

Wcześniejsze wyciągnięcie nas z „internatu” nie udało się. Wolność odzyskałem dopiero 11 czerwca 1983 roku. Zrezygnowałem ze zdawania egzaminów semestralnych. Poprosiłem jeszcze o urlop dziekański na następny rok akademicki. Władze uczelni rozumiały naszą sytuację.

Pani Profesor była osobą, która reprezentowała Politechnikę Gdańską w kontaktach z wojewódzkimi władzami partyjnymi i państwowymi, z milicją i służbą bezpieczeństwa. To w głównej mierze Jej zasługą jest fakt, że żaden student naszej uczelni nie został relegowany za działalność polityczną w tamtym okresie. Ja skończyłem studia w 1986 roku.

W mojej pamięci Marianna Sankiewicz zapisała się jako człowiek szlachetny, ofiarny i niezłomny. Teraz już znam historię Jej życia. I myślę sobie, że warto było poznać na swojej drodze osobę wierną swoim wartościom, zahartowaną w zwalczaniu przeciwności, oddaną innym ludziom, bo to kształtuje młodego człowieka na całe życie. Z perspektywy czasu twierdzę przewrotnie, że... warto było „siedzieć” w Strzebielinku i przejść gehennę stanu wojennego, by zarazić się Jej szlachetnością.

Moje opinie o pani Profesor podziela też mój ojciec, Bohdan. Kiedy w latach pięćdziesiątych studiował łączność w PG, Marianna

Sankiewicz była asystentką profesora Leonarda Knocha. Miał z nią zajęcia. Była inna niż inni... Potem ojciec przez wiele lat pracował w gdańskim ośrodku TV, a pani Profesor nigdy nie straciła kontaktów z rozgłośnią Polskiego Radia. Spotykali się wielokrotnie na płaszczyźnie służbowej.

W ostatnich latach ojciec mieszka poza Polską, ale któregoś razu przyjechał do Gdańska i do drzwi pani Profesor zapukał z bukietem kwiatów. Czy taki gest wykonuje się wobec osób tuzinkowych, przeciętnych, mało w życiu znaczących?

Jerzy Kobyliński
Absolwent 1986 r.

Mam dwie matki

Moment pierwszy

Rok 1970, grudzień, ja, przestraszony jeszcze pierwszoroczniak...

Gdzieś około południa nadchodzi wiadomość z rektoratu, że popołudniowe zajęcia są odwołane. Wielka radość wśród elektroników; razem z kolegami idziemy na piwo, na Fiszerę. Koło uczelni.

Uroczysta atmosfera szybko znika, kiedy się dowiadujemy od stałych bywalców piwiarni, że jest jakaś „rozbóba” w stoczni. Po-
stanawiamy iść do akademika i potem, na skróty, do stoczni, aby zobaczyć co się dzieje.

Pełno dymu, z daleka słysząc strzelaninę, od przechodniów dowiadujemy się, że główna akcja odbywa się na dworcu w Gdańsku. Wsiadamy do tramwaju, który zatrzymuje się koło Akademii Medycznej i dalej idziemy już pieszo.

Ja zarobiłem parę pałek na plecach, a mojego kolegę z pokoju, Piotra, zwinęła milicja (miał bardzo długie, kręcone włosy i prawdopodobnie wyglądał na... chuligana).

Zwijam się do mojego akademika Nr 9, na Wyspiańskiego, i zaraz powiadamiam starszego kolegę i szefa zarządu dziewiątki, Wiesia (albo Zdzisia, nie pamiętam) Rybnika, że zwinęli naszego studenta. Wtedy po raz pierwszy poznaję Mariannę, prodziekana do spraw studenckich, która w otoczeniu grupy studentów z Elektroniki, zastanawia się co w tej sytuacji trzeba zrobić, a głównie – z tego co dociera do mnie na końcu korytarza – ilu studentów brakuje z listy, którą trzyma w ręku pani Sankiewicz.

Pierwsze refleksje o Mańce (szybko się dowiaduję od starszych kolegów, że to jest... „skrót naukowy”, który wymyślili studenci, zastępując imię i nazwisko p. Marianny Sankiewicz). Długie włosy,

stanowczy i bez żadnych niedopowiedzeń dźwięczny głos, zaraz przypadł mi do gustu...

Zapada decyzja: zamykamy akademik, siedzimy w środku, nikt nie wychodzi na zewnątrz, a Mańka razem z chłopakami z zarządu radzą, co będzie z naszym wyżywieniem itd. Tworzą się różne grupy działania, a mnie przypada fucha rozdawania chleba po pokojach (nie zapomnę tych wielkich koszy z ciepłym pieczywem i niesamowitymi zapachami...).

Po paru dniach życia w zamkniętym akademiku spotykam się przypadkowo z Wojtkiem Truszkowskim, który wiedział, że jestem Grekiem i muzykiem; na drugi dzień złapałem fuchę w SAR-ze, przygotowując materiał muzyczny do całodziennych audycji informacyjnych dla studentów w osiedlu akademickim na Wyspiańskie-go. Tam prawie codziennie widywałem Mariannę, która kierowała akcją odzyskiwania zatrzymanych studentów. Mając okazję być blisko prodziekana zauważyłem, że miała niesamowitą łatwość komunikowania się ze studentami, a głównie z chłopakami. Niesamowity respekt przed Mańką, prawie strach (nie było żadnej możliwości dłuższego dialogu), bo wymagała niesamowitej precyzji w opisach zdarzeń, bez żadnych szans na jakieś tam bla, bla, bla...

Wtedy też dowiaduję się od studentów z innych wydziałów, że Mańka ma też inny pseudonim: *ciotka*. Nie wiem kiedy nadano jej ten ...tytuł, ale w kontekście wydarzeń grudniowych zrozumiałem, że ta nazwa pasuje i odzwierciedla znakomicie postawę Marianny wobec spraw studenckich, nie tylko dotyczących spraw akademickich, ale i wielu spraw osobistych (młode małżeństwa mieszkające w różnych akademikach, niektórzy z małymi dziećmi itd.).

Moment drugi

Przez 2 lata nie mam żadnych bliższych kontaktów z Marianną, aż do momentu, kiedy to trzeba było wybrać kierunek specjalizacji. Widuję ją raz po raz w SAR-ze, gdzie jestem... full time i czasami w telewizji, we Wrzeszczu, gdzie współpracuję z redakcją muzyczną.

Kolega z roku, z którym mieszkam razem w pokoju 212 przynosi nam do wypełnienia formularze wyboru specjalizacji. Jako absolwent Technikum Łączności w Poznaniu, w specjalizacji Radio-Telewizja, prawie automatycznie wybieram kierunek telekomunikacji. Nie mam wtedy oczywiście żadnego pojęcia, że w Instytucie Telekomunikacji jest Zakład Elektrofonii, z Gustawem Budzyńskim na czele i Marianną w składzie pracowników naukowych.

W akademiku odbywają się specjalne spotkania w klubie „Koga” (chyba tak nazywał się wtedy klub studencki w 9-tce), gdzie starsi koledzy tłumaczą młodszym, jakie zalety mają poszczególne kierunki, jacy są profesorowie i asystenci, gdzie jest łatwiej zdawać egzaminy itd. Chłopaki z mojego pokoju (było ich czterech) zdecydowanie wybierają elektronikę, jako bardzo obiecujący w tym okresie rozwoju technologii kierunek i namawiają mnie, żeby, póki co, zmienić kierunek, który już wybrałem. Termin, o ile pamiętam, upływał z końcem tygodnia i musiałem szybko załatwić spotkanie w dziekanacie, aby prosić o zmianę kierunku (teoretycznie, zgodnie z komunikatem dziekanatu, było to możliwe).

Sekretarka oznajmiła mi, że są godziny spotkań studentów z prodziekanem d/s studenckich i oczywiście pędzę na to spotkanie z nadzieją, że to sprawa czysto formalna. Jest nas paru w kolejce, wychodzi dziewczyna, cała spłakana, bo – z tego co zrozumiałem – „przydarzyła” się jej nieoczekiwana ciąża... i nie bardzo wiedziała co z tym fantem zrobić (lata 70-te!!!). Pada słowo sekretarki: następny proszę... Ciśnienie w żyłach mam prawie takie jak... w oponach „Moskwicza” mojego ojca, drgania kolan około 50Hz, no i wchodzę do tego nieszczęsnego dziekanatu na pierwszym piętrze. Nieduży pokój, biurko, z tyłu okna z widokiem na stary, czerwony barak stojący przed nowym wtedy budynkiem Elektroniki i w środku... pochylona głowa Pani Dziekan.

– O co chodzi, kolego? Jak brzmi twoje imię po grecku? – pada pytanie.

Ledwo coś wybełkotałem, a tu następne pytanie:

– A po co tu pan przyszedł? O co chodzi?

Mokro mam już w spodniach, nie bardzo pamiętam po co tu przyjechałem i nagle słyszę gdzieś spośród niesamowitych „szumów własnych”:

– Dziękuję panu, może pan pójść i proszę zamknąć drzwi za sobą...

Kolega Piotr, który czekał na mnie na korytarzu, pyta: no i co, załatwiłeś sprawę?

– Co to za dyktatura? – to pierwsza moja odpowiedź. – Pójdę się poskarżyć do zarządu studenckiego, do Rybnika pójdę...

Wieczorem, po rozmowie z kolegami, zrozumiałem, że to „nierówna walka”, bez żadnych szans, i że w ogóle nie ma co mówić. Idziesz na telekomunikację i cześć!

Po czterdziestu latach mówię sobie: całe szczęście, że jakieś siły sprowadziły mnie przed oblicze Marianny w odpowiednim momencie!

Moment trzeci

Co dalej: studia magisterskie na reżyserii dźwięku?

Lata studiów szybko mijają. Jest rok 1974, jestem już na etapie przygotowań do robienia dyplomu. Myślę sobie: jaki temat wybrać? W jakiś sposób chciałem się odegrać za porzucony kiedyś kierunek elektroniki, w której to dziedzinie czułem się bardzo mocny (ojciec mój był elektronikiem, tak że od małego dziecka miałem niesamowitą wprawę w grzebaniu w drutach itp.). Już na drugim roku rozpoczęliśmy w dziewczątce składanie telewizorów. Najpierw rozdawaliśmy je kolegom z wydziału, którzy znosili części od „Nep-tuna” z zakładu w Gdańsku, a wynagrodzenie najczęściej służyło po piwie...

Mając wykłady i laboratoria z ekipą prof. Szukszty, złapał mnie jeden z jego asystentów, mgr Krzysztof Krolík, bardzo utalentowany facet, który mi zaproponował temat pracy z częścią praktyczną: „Generator schodkowy do testowania systemów wizyjnych”. (Tzw. pasy testowe).

Bardzo mi to pasowało, bo miałem za sobą technikum telewizyjne i wprawę w pomiarach telewizorów, które składaliśmy w akademiku (nie wszystkie chciały od razu pracować; pochodziły przecież z niesprawnych części i odpadów zakładowych). Nowością było to, że miałem to robić na scalakach typu TTL, co mi się bardzo przydało w mojej późniejszej działalności naukowej.

Obrona poszła elegancko, piątka z wyróżnieniem, generator chodził na medal i wypróbowałem go w audytorium Elektroniki na parterze, gdzie miałem pierwszy kontakt z załogą doc. Budzyńskiego, który na uczelni wprowadzał technikę multimedialną.

Poczułem, że w rzeczywistości to jest mój świat: dźwięk, obraz, nagrywanie (nigdy nie zapomniałem mojej drugiej osobowości praktykującego muzyka, którą wprowadzie trochę zaniedbałem podczas studiów, ale tego nie da się zapomnieć, a tym bardziej porzucić).

Koniec czerwca, jestem szczęśliwy, że już po studiach... Z domu, z Poznania nadchodzi wiadomość, że dyktatura wojskowa, która panowała w Grecji od 1967 roku, upada wreszcie pod naciskiem narodu, a głównie młodzieży akademickiej. Ojciec rzuca hasło: wracamy do ojczyzny!

Pełen kontrowersyjnych uczuć i wewnętrznych obaw lecę do sekretariatu po dyplom, żeby mieć czym się pochwalić rodzinie, a zwłaszcza ojcu, dla którego ten dokument znaczył dużo więcej niż dla mnie. W sekretariacie odprawili mnie ze świstkiem papieru, jako tymczasowym dowodem ukończenia studiów, z informacją, że oficjalnie dyplom otrzymam w październiku, na specjalnej uroczystości wręczania dyplomów itd. Pomyślałem sobie: a to będzie numer, jak ojciec zobaczy ten świstek...

Pcham się nieszczęsnym pociągami do Poznania, jestem już w domu, no i oczywiście przy kolacji ojciec mówi: pokaż dyplom... Wyciągam ten kawałek papieru, pokazuję... Jak to, to tyle lat czekałem na coś takiego? Chcesz z tym świstkiem wracać do Grecji? Myślisz, że ktoś ci uwierzy, że masz dyplom inżyniera?

Świstek wylądował mi na głowie, ojciec wyszedł z domu, a mama ze łzami w oczach próbowała się dowiedzieć o co chodzi, czy to

naprawdę tak musi być. Jedyne czego się obawiałem, to pogorszenia stanu zdrowia ojca, który jeszcze od czasu partyzantki w Grecji, miał poważną wadę serca.

Z mieszanymi uczuciami wracam do Gdańska, aby uporządkować sprawy z akademikiem, z biblioteką, z SAR-em, klubem „Hi-Fi”... Także sprawy sercowe domagały się rozwiązań (mówiąc ogólnie...).

Lecę do dziekanatu, rozmawiam z dziewczynami o moim planowanym wyjeździe. Nie widzę, że obok drzwi do pokoju są lekko otwarte ... Z tych właśnie drzwi wychodzi pani Sankiewicz i prosi mnie do gabinetu. Odbywa się rozmowa o wszystkim, o mojej rodzinie, o moich studiach, o moich muzycznych zainteresowaniach, o moich dalszych planach życiowych. Zimny pot mnie oblewał raz po raz, nie bardzo wiedziałem jak mam się zachować. I nagle pada pytanie w barwie rozkazu:

– Uważam, że powinien pan zrobić magisterkę w zakresie akustyki, ma pan do tego wszystkie predyspozycje, ojciec ma rację, że to jeszcze nie to, czego od ciebie wymaga, do Grecji możesz pojechać dopiero po ukończeniu studiów magisterskich... Przynajmniej... Proszę się zastanowić. Widzimy się jutro w południe...

Bałagan w głowie, liczę plusy i minusy tej nowej sytuacji. Wyjechać czy pozostać? Nie bardzo mi się chciało rozpoczynać życie od nowa. Młodszy brat jeszcze studiuje na drugim roku Akademii Muzycznej w Poznaniu.

W mojej, ale i rodziny, decyzji pomaga tymczasowe (a jak się niestety później okaże – nieprzypadkowe) odrzucenie przez ambasadę Grecji podania o wydaniu paszportu na wyjazd. Ojciec, mając cały czas na uwadze zaświadczenie o dyplomie inżyniera, znajduje świetną okazję, aby mi udowodnić, że miał rację, i że dopiero po studiach magisterskich będę „godny” jego uznania. Musiałem to jakoś przeboleć. Ale perspektywa, że nie muszę opuszczać przyjaciół, sytuacji i wielu spraw w toku, w pełni mnie zadowoliła, pozostawiając tylko jedną rzecz do rozwiązania: muszę podjąć jakąś pracę. W domu się nie przelewało.

Następnego dnia jestem u Marianny, wywalam wszystko co wiem, poruszam sprawę pracy, a zupełnie przypadkiem w sekretariacie jest Krzysztof Krolik, który mimochodem przysłuchuje się naszej rozmowie przez niezupełnie zamknięte drzwi (o ile pamiętam, te drzwi były zawsze lekko uchylone).

– Pani docent, Jurek jest świetnym fachowcem – mówi – na pewno się przyda w Zakładzie Elektrofonii, pomoże wam w prze-róbce audytoriów.

Chwila ciszy.

– Słuchaj, synku. Ponieważ musisz kontynuować studia, zbada-my możliwość zaangażowania ciebie na etacie naukowo-technicznym w zakładzie elektrofonii, gdzie szefem jest docent Gustaw Budzyński.

Od dziewczyn w sekretariacie dowiaduje się, że Budzyński to mąż Marianny! No to wpadłem, myśle sobie....

Reszta potoczyła się w mgnieniu oka. Krótka rozmowa z szefem, opis sytuacji i wymagań, miejsce w pokoiku dla asystentów, razem z Andrzejem i Adamem. Naprzeciwko drzwi sekretariatu zakładu, a za drzwiami boska postać Zosi, przepięknej sekretarki z niesamowicie długimi włosami (coś w stylu Marianny...).

Atmosfera niezła, walę do administracji o przyjęcie do pracy. Wszystko OK! Rozpaczynam studia i pracę od pierwszego października.

Załatwiam w dziekanacie indywidualny plan studiów, gdzie nie udało się oczywiście pominąć teorii informacji prof. Sobczaka, późniejszego dziekana zresztą.

Wakacje...

Po wakacjach Marianna kontaktuje mnie z ludźmi z radia i telewizji we Wrzeszczu. Tam poznaję chłopaków z zespołu „Rama 111”, z W. Rejnowiczem na czele. Pada temat „nie do odrzucenia”: robimy studio nagrań na Elektronice, z tyłu, na zapleczu Audytorium I. Bardzo mi to pasowało, bo Mańka była tym bardzo zainteresowana.

Moment czwarty

Październik 1974, mieszkam w szesnastce, obok SAR-u, wszystko układa się obiecująco i nagle ktoś woła z korytarza, że mam telefon z Poznania. Z wielkim trudem rodzina informuje mnie o nagłej śmierci ojca. Świat mi zawirował, nie chciało mi się wierzyć, że coś takiego mogło się wydarzyć. Nagle zrozumiałem, że żyłem w innym świecie, dalekim od spraw dramatycznych...

Nie było już w tym dniu żadnego połączenia kolejowego z Poznaniem, poza pociągiem towarowym. Wsiadłem do takiego wagonu, po cichej umowie ze stacyjnym w Gdańsku, a pociąg wlecze się przez 12 godzin... Zaraz po przyjeździe dowiaduję się, że ojciec zmarł w Kowarach, gdzieś na Śląsku. Bez zastanowienia wsiadamy z moim wujem oraz kolegą do samochodu i w nocy, przy niesamowitym deszczu, pędzimy po paskudnych drogach, bez oświetlenia, do Kowar. Po drodze, na jednym z nieoświetlonych i nieoznaczonych zakrętów wylatujemy z drogi i samochód ląduje do góry kołami w głębokim rowie z bagnem (na nasze szczęście, jak się okazało). Przejeżdżająca ciężarówka nas zauważa, przywiązuje do liny i ciągnie z powrotem na drogę. „Volkswagen” ma tylko porysowany dach i tylni kierunkowskaz pęknięty. Niesamowite! Myślę sobie: zapali? I rzeczywiście! Zapalił i pojechaliśmy dalej, aby dowiedzieć się w Kowarach, że ojca już tam nie ma, że został przewieziony do Poznania.

Jestem u Marianny w pokoju, załamany kompletnie i tłumaczę, że nie dam chyba rady kontynuować studiów, mając na głowie zdruzgotaną matkę i młodszego brata na studiach.

– Ja to rozumiem, synku – padają pierwsze słowa Marianny, która wyraźnie jest zaszokowana i zdruzgotana wiadomością, wyraźnie stara się zapanować nad sytuacją, pociesza mnie, próbując ukryć wzruszenie, które rzadko ujawnia przed innymi. Myślę, że po raz pierwszy miałem odczucie, że traktuje mnie jako kogoś bardziej bliskiego od zawsze bliskich jej studentów, dla których, według mojej opinii, była po prostu... stworzona.

Moment piąty

Czerwiec 1975, nadchodzi czas egzaminów i obrona dyplomu. Z ambasady greckiej jest wiadomość, że wreszcie możemy wracać do kraju. Szczerze mówiąc, nie bardzo mi to pasowało – mając na głowie, poza egzaminem dyplomowym, wiele innych spraw, bardzo dla mnie ważnych.

Egzamin zdaję na medal, wszyscy są bardzo zadowoleni, jest wino, koledzy, opiekun pracy doc. Budzyński, no i pani Marianna. Informuję ją, że przyszedł papiery umożliwiające mi wyjazd do Grecji, i że nie bardzo wiem co dalej. Nie zdążyłem „obalić” pierwszego kieliszka, a tu Mańka wali prosto z mostu:

– Słuchaj, kolego. Moim zdaniem powinieneś pojechać teraz do Grecji, załatwić sprawę pobytu mamy w jej rodzinnych stronach (co wcale nie będzie łatwe, po tylu latach nieobecności) i z początkiem października rozpocząć doktorat na uczelni, bo sam dyplom magisterski to za mało, żebyś mógł... na stałe wyjechać do swojego kraju. Myślę, że powinieneś zająć się systemami dźwięku przestrzennego, które ci leżą w tematyce, a w połączeniu z rozbudowującym się tymczasem studio nagrań w Audytorium I, to jak znalazł dla ciebie.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć zrozumiałem, że nie mam żadnych szans na inną alternatywę.

Na moją ostateczną decyzję w tej sprawie wpłynęło też wyrażenie z innej zupełnie beczki, ale mające związek z moim pobytem w Gdańsku. Któregoś dnia poproszono mnie do szefa kadr pracowników naukowych PG. Pędzę na spotkanie. Bardzo uprzejmy i miły facet proponuje mi kawę i rozpoczyna gadkę, jaki to utalentowany, młody gość jestem, pełen perspektyw i dobrze zapowiadający się na przyszłość. Czułem się jakbym wydał złotą płytę, albo opatentował jakiś naukowy pomysł... Po krótkiej rozmowie czuję, że tu nie o naukę chodzi i sukcesy, ale o coś zupełnie innego. Moment ciszy i pada tekst:

– Panie Jorgosie, mamy mały problem z pańskim etatem

w Zakładzie Elektrofonii, który – na pana nieszczęście – sąsiaduje z Zakładem Hydrofonii. Rozumie pan, oni pracują dla wojska, a pan jest obcokrajowcem. Proponujemy panu pracę w Instytucie Łączności, będzie pan miał tam świetne warunki do pracy...

Sprawa była jasna. W krótkim czasie, po konsultacji z późniejszym promotorem doc. Gustawem Budzyńskim i Marianną, składam podanie o otwarciu przewodu doktorskiego, zwalniam się z pracy i decyduję zwinąć manatki, szykując się na wyjazd.

13. sierpnia tego samego roku jestem już w Grecji, a w niecałe trzy miesiące wracam do Gdańska, aby uzgodnić plan pracy. Temat Budzyńskiego fascynujący i na wiele lat do przodu: „System dźwięku przestrzennego o poszerzonej bazie frontalnej 3+2”, – czyli nic innego jak dzisiaj dobrze znany system Dolby Surround, w konfiguracji 5.1. Pomysł światowy, ale podłoże techniczne... marne. Dwuśladowe magnetofony, jeden czterośladowy, lampowy Studer z radia i stół mikserski z czasów... Jagiełły. Kiepska sprawa – myślę sobie – z taką bazą daleko nie zajdę. Muszę szukać pomocy poza murami uczelni. I znowu rozwiązanie nadchodzi... od Marianny!!!

Jest przecież w Polskim Radiu. Walę do gabinetu i wykładam całą sprawę na stół: potrzebne jest to i to. Piszemy razem podanie do W-wy, do różnych dyrektorów, ministrów i gdzie się tylko da, żeby znaleźć nowoczesny sprzęt. Włączam do akcji oczywiście cały muzyczny świat, „Estradę” i co jeszcze miałem pod ręką, żeby przekonać, iż przyszedł czas na nagrania przestrzenne, wielokanałowe. Brzmiało to trochę utopijnie, ale byłem pewny, że to nam się uda. Mańka jest niesamowicie zaangażowana, dzwoni na wszystkie strony, wiezie mnie prawie co tydzień do Warszawy. Na szczęście w Polskim Radiu i Telewizji jest parę starszych chłopaków ze studiów (z SAR-u) z Gdańska, którzy też ze swojej strony pchają sprawę.

Po paru miesiącach działań prawie wojennych (tzw. akcjach pani „S”...), dostajemy na wydział, do audytorium, magnetofon wielośladowy firmy 3M i wiele sprzętu elektroakustycznego. Jest na czym pracować, cały dział techniczny zakładu jest pod wysokim napięciem. Niesamowita atmosfera pracy, długie noce w audytorium

i obowiązkowe nocowanie u... Marianny i Gustawa. Tu się nie popisałem: wpadłem jak śliwka w kompot. Absolutna władza Pani Docent, żadnych szans na improwizację i tzw. wolny czas. Z ulicy Fiszerza na Elektronikę i z Elektroniki na Fiszerza. Absolutna „dyktatura” pani „S”.

Przerabiamy całe zaplecze audytorium, instalujemy nowe głośniki w systemie 3+2 (które do dzisiaj wiszą w tym samym miejscu) i robimy pierwsze nagrania w systemie surround. „Rama 111” służy jako źródło dźwięków, wraz z chórem młodych dziewczyn z Trójmiasta, z Niną Rowińską na czele. No, ale to mi nie wystarcza. Muszę znaleźć coś większego na taki system. Poprzez Mariannę poznaję słynnego organistę J. Serafina, który zgadza się na doświadczalne nagrania organów oliwskich, co dla mnie było niesamowitą hecą. Łatwość Marianny we władaniu językiem francuskim doprowadziła do poznania mnie z bardzo dobrym lektorem tego języka, co wykorzystaliśmy jako narrację w testowaniu systemu przestrzennego. Zestaw był zupełnie międzynarodowy, po czym zapada decyzja pani „S”: jedziemy z naszym niecodziennym materiałem dźwiękowo – muzycznym na festiwal dźwięku w Paryżu (Festival du Son), w 1977 roku. Frajda niesamowita, razem z Marianną i Gustawem pędzimy ich fiatem do Paryża, mając ze sobą wielkie, jednocalowe taśmy wielośladowe na prezentację po raz pierwszy w historii systemu 3+2, obok znanego w tym czasie systemu kwadrofonii 2+2. Wszystko poszło wspañiale. Festiwal odbywał się w zupełnie nowym, dopiero otwartym Palais de Congrès, gdzie demonstrowałem mój system na żywo tłumom zwiedzających. Zwiedziłem wtedy także Centrum Georges Pompidou; architektoniczne cacko, z bebechami instalacji budynku na wierzchu, gdzie miałem też okazję poznać znanego kompozytora muzyki elektronicznej, Janisa Xenakisa, Greka zresztą, który razem ze Stockhausenem działał tam w Instytucie IRCAM.

Kursuję bez przystanków między Salonikami a Gdańskiem przynajmniej dwa razy w miesiącu, małym Audi 50GL, który utrzymuję do dzisiaj w pełnej sprawności i gotowym na kolejną „akcję” Marianny.

W grudniu 1978 roku bronię swój doktorat, z Ignacym Maleckim, ojcem akustyki polskiej, na czele moich recenzentów. Jest wielka impreza w domu na Fiszeru. Marianna oczywiście prowadzi zgromadzenie, wielu ludzi ze świata naukowego, ale i artystycznego. Gospodyni wznosi toast i ma nadzieję, że mogę teraz wrócić do kraju, ale pod warunkiem, że będę dalej utrzymywał kontakty z Gdańskiem, z Politechniką, i że muszę stworzyć podobny zakład inżynierii dźwięku na uczelni w Salonikach, gdzie od 1976 roku byłem asystentem naukowym na Wydziale Elektrycznym.

Tak się też stało! Do dzisiaj mamy świetnie rozwijającą się współpracę na szczęblu uczelnianym między dwoma uniwersytetami, wymiany studentów, wspólne prace doktorskie itd. Prawie co roku są akcje prowadzone przez duet M+G na wszystkich frontach. Kilka lat temu, przy okazji rocznicy śmierci profesora Pawła Szulкина, jedziemy, tym razem w asyście drugiego Jorgosa, młodszej generacji, Bogdanisa zresztą, do Paryża, w asyście Marianny, która oczywiście nadaje, jak zwykle, tempo sprawom, organizując m.in. własne kolacje, przywiezione z Gdańska, w pokoju, w którym mieszkaliśmy. Wszystko pod... Master Clock.

Należę do tych szczęśliwych ludzi, którzy mieli (i mają) okazję mieć w swoim życiu dwie matki...

Jorgos Papanikolaou
(w/g Mańki – George, po francusku)
Absolwent 1975 r.

A jednak zostałem inżynierem...

Wszystko zaczęło się w roku 1974, kiedy pomyślnie zdałem egzaminy i trafiłem na moją upragnioną elektronikę. W tym czasie jeszcze nie wiedziałem, że to nie jest moja największa radość... Jak się okazało, na tym wydziale poznałem wielu przyjaciół, z którymi kontaktuję się do dzisiaj. Szczególnie cenię sobie 35 – letnią znajomość z moją drogą panią dziekan Marianną Sankiewicz, która była i jest do tej pory moim opiekunem, przewodnikiem i – jak mogę sądzić – także przyjacielem.

Przebieg moich studiów miał charakter szczególny, a i finału – inżynierskiego dyplomu – zabrakło....

W roku 2002 nasz wydział obchodził swoje 35-lecie i z tego powodu organizowany był zjazd absolwentów. W tym czasie, niestety, nie mogłem poszczycić się tytułem absolwenta, jednak pragnienie spotkania dawnych kolegów zmotywowała mnie do napisania do organizatorów prośby.

Toruń 21.05.2002r.

Komitet Organizacyjny Obchodów 50-lecia WETI

PODANIE

Zwracam się z uprzejmą prośbą o dopuszczenie mojej osoby do uczestnictwa w obchodach 50-lecia WETI. Prośbę mam motywuję tym, że w latach 1974 do 1981 roku byłem żywo związany z w/w uczelnią. Długo i dobitnie przyswajając sobie tą trudną materię. Już na pierwszym roku udało mi się przeżyć egzamin komisyjny z matematyki. Potem wiele innych spraw nie pozwalało mi się skoncentrować na wykładanych przedmiotach, a to:

- Komisja Nauki Zarządu Wojewódzkiego SZSP (ŻAK)
- Komisja Kultury Rady Samorządu DS – 9
- Prowadzenie wydziałowego klubu „HI FI” w latach 1977-1979 – nieskromnie mówiąc zajęliśmy wtedy 5-te miejsce w Polsce.
- Organizowanie „Otrzęsin”
- Dni Wydziału Elektroniki
- Klub miłośników dobrej muzyki „Decybelek”
- parę innych imprez, które może koledzy jeszcze pamiętają

Niestety, zawierucha wojenna w 1981 nie pozwoliła mi zaliczyć ostatniego egzaminu, na który umówiony byłem na 14.12.1981. Z uwagi na to, że zostałem w zakładzie pracy ZMILITARYZOWANY, nie udało mi się udowodnić wykładowcy, że jak zwykle przedmiot mam opanowany do perfekcji!!!

Może udałoby się podciągnąć mój przypadek pod jakieś kombatanckie ulgi i Szacowna Komisja pozwoliłaby mi spędzić te parę chwil z moimi kolegami magistrami ? W razie gdybym mógł doznać szczególnych łask, załączam swoje dane i kilka fotek z tego okresu.

Marek Illeczo
87-100 Toruń
ul. Słowackiego 36 m 8

Z ankiety załączonej w internecie mogę tylko dopisać, że zacząłem studia w 1974 roku, imię i nazwisko napisałem wcześniej, co robię to trudno opisać, ale tylko dzięki wiedzy i umiejętności nabytych w Ukochanej Uczelni potrafię odprowadzać podatki!

Niestety z oficjalnych papierów posiadam tylko indeksy, bo wszystkie inne od roku 1981, leżą jeszcze w archiwach szacownej Alma Mater.

Z poważaniem omc mgr Marek Illeczo



A w Klubie Hi-Fi działy się różne rzeczy. Czasami trzeba było kogoś przekonać, że studenci Elektroniki nie są niczemu winni, a i skarcić malarza, że opublikował „list gończy” za mną i to tylko za 2,5 rubla – mam nadzieję, że choć transferowego !

Pozostaję w nadziei!

Dołączyłem powyższe zdjęcia, kopie indeksu, legitymacji studenckiej, brązowego odznaczenia SZSP i kilku innych dowodów mojej obecności w środowisku uczelni.

Niezbyt długo przyszło mi czekać na odzew. Zadzwoiła do mnie Pani Profesor i w trybie stanowczym (nakazującym) zaproponowała mi uczestnictwo w obchodach. Warunkiem jednak było to, bym zabrał ze sobą swój indeks. Skorzystałem.

Impreza super udana, wiele wspomnień, wzruszeń, radości, ale też i nieoczekiwanych zdarzeń. Ledwo pojawiła się na spotkaniu Pani Docent, to prowadzący Grześ Bukala ogłosił przez mikrofon, że nijaki Marek Illeczo jest pilnie poszukiwany przez Panią Profesor. Rozmowa była krótka.

– Masz indeks? Wy, dziecko nie mieliście nigdy czasu, aby pomyśleć o sobie, ciągle zajmowaliście się pracą na rzecz innych. Nie chcę ci nic obiecywać, ale pomyślę, co w twojej sprawie można zrobić.

– No tak, ale co z takim przypadkiem jest jeszcze do zrobienia?

– Nie wiem dziecko, muszę się zorientować. Porozmawiam

z dziekanem, może pozwoli ci zaliczyć podstawowe zdane przedmioty, a resztę po prostu zaliczysz w sesjach.

– To znaczy, że ja po tylu latach przerwy, miałbym podjąć naukę na wydziale, uczęszczać na zajęcia, zaliczać przedmioty razem z młodzieżą, która chłonie wiedzę trzy razy szybciej i efektywniej niż ja?

– No tak, innego wyjścia, dziecko, nie ma.

Nie czułem się po tej rozmowie zbyt dobrze. Z jednej strony pragnienie dokończenia tego, co kiedyś zacząłem i o czym do tej pory myślę jako o niedokończonej edukacji, a z drugiej, perspektywa ślęczenia nad dawno już zapomnianymi formułkami, no i dojazdy do Gdańska. Przeraziło to mnie ogromnie. Nie chcąc się na zapas denerwować pomyślałem, a może nic z tego nie wyjdzie?

A jednak: raz zadany Pani Profesor problem nie może być przez Nią zbagatelizowany, a szczególnie jeśli dotyczy Jej podopiecznego! Więc...

Po kilku miesiącach otrzymałem wiadomość: „Pisz, dziecko, podanie do dziekana”.

Napisałem.

Toruń 2002-10-18

*Illeczo Marek
87-100 Toruń
ul. Słowackiego 36/8*

***Dziekan d/ s Kształcenia
Wydziału ETI Politechniki Gdańskiej
doc. dr hab. inż. Ryszard Katulski***

PODANIE

*dot.: umożliwienia dokończenia studiów z lat 1974 – 1981
nr albumu 13253*

W latach 1974–1981 studiowałem na Wydziale Elektroniki PG, mam zaliczone cztery lata studiów. Z powodu istniejącej w tym czasie sytuacji politycznej w Polsce, nie udało mi się dokończyć pracy. Chciałbym skorzystać z ewentualnej możliwości dokończenia studiów.

Z poważaniem
Marek Illeczo

Nie ukrywam, że w tym momencie zaczął się dla mnie bardzo ciężki okres. Mój wiek, obowiązki zawodowe i rodzinne utrudniają troszkę edukację. Cotygodniowe zjazdy, ponowne wkuwanie skomplikowanych wzorów matematycznych, nocne ślęczenie nad zadaniami laboratoryjnymi dobrze wryły mi się w pamięć. Gdyby nie wsparcie duchowe Pani Profesor oraz merytoryczne, wspaniałego promotora dr. hab. Lecha Hasse, pewnie bym się załamał.

Ich świetna praca dydaktyczna i dobrze mi znany, bo wdrożony przeze mnie w mojej firmie temat pracy dyplomowej „*System monitoringu sieci ciepłowniczej*”, solidnie przyczyniły się do mojego sukcesu.

Udało się !

W maju 2004 skończyłem 50 lat, weszliśmy do Unii i zostałem inżynierem.

Dziękuję!!!

Pamiętaj i ty: jeśli w życiu natrafisz na wspaniałych ludzi, to i po 30. latach możesz obronić inżynierski dyplom.

Marek Illeczo
Absolwent 2004 r.

Akademik elektroników

Studia na Wydziale Elektroniki Politechniki Gdańskiej rozpocząłem 1 października 1967 roku i zostałem z przydziału zakwaterowany we wspólnym akademiku studentów Wydziałów: Elektrycznego i Elektroniki. W bardzo potrzebnej aklimatyzacji na uczelni i w domu studenckim bardzo pomógł mi tzw. mikrokurs dla wybranych studentów zamiejscowych, zorganizowany jeszcze przed początkiem roku akademickiego.

W moim życiu studenckim – w społecznej działalności pozadydaktycznej – szczególnie pamiętam panią doc. dr inż. Mariannę Sankiewicz, jako osobę wielce zaangażowaną, wrażliwą i otwartą na potrzeby, problemy i sprawy studenckie, a jednocześnie bardzo waleczną o ich roztropne interesy. Wówczas zastanawiałem się nad tym, dlaczego jest Ona przez tych i innych studentów nazywana *ciocią*? Praktycznie znała Ją i ceniła większość studentów, a niektórzy zawdzięczają Jej bardzo dużo. Szczególnie wiele serca okazywała młodym małżeństwom studenckim, studentom znajdującym się w kłopotliwej sytuacji i najbardziej oraz studentom zagranicznym.

Poniżej zamieszczam fragmenty moich wspomnień z lat studiów 1967 – 1972, dotyczących wydarzeń związanych z otrzymaniem wydziałowego domu studenckiego i tła ogromnego Jej dzieła oraz wsparcia, jakiego udzielała – bliska nam wówczas, ale też i teraz, po latach – Pani Docent.

- Od samego początku studiów (rok akademicki 1967/68) interesowałem się sprawami socjalno – stypendialnymi. W latach 1968-73 bardzo praktycznie zajmowałem się działalnością socjalno – bytową w środowisku studenckim roku studiów, wydziału oraz całej PG, będąc w latach 1967-72 studentem jednego z bardzo dynamicznie i nowocześnie rozwijających się wydziałów. Na pierwszym roku studiów mieszkało nas

w pokoju aż sześciu elektroników. W DS-16, wspólnym akademiku elektryków i elektroników, w 1968 r. trafiłem najpierw do Komisji Sanitarnej i zajmowałem się m.in. – bardzo wówczas ważnym – przydziałem chodników, dywanów itp. środków wyposażenia pokoi studenckich. Łóżka były piętrowe (otrzymane od wojska). Działalność ta w początkowym okresie była oddolnie samorządna i w pełni spontaniczna, więc nie była też związana z żadną organizacją studencką czy młodzieżową. Zabiegał o nią Komitet Wykonawczy Uczelnianego Parlamentu Zrzeszenia Studentów Polskich i nieśmiało uczelniany ZMS, gdyż dotyczyło studentów z dwóch wydziałów. Miało to też swoje zalety, ale w sprawach socjalno – bytowych była to jednak wyraźna niedogodność. Kontakty dwuwyziałowej Rady Samorządu DS-16 (w jej kierownictwie bardziej wpływowi byli elektrycy niż elektronicy) z Wydziałem Elektroniki były wyraźnie nieporęczne, szczególnie w sprawach przydziałów miejsc w akademikach. Wspólnego i jednolitego



Impreza w Hi-Fi z okazji zdobycia pierwszego miejsca w krajowej rywalizacji akademików. Lata siedemdziesiąte

wydziałowego reprezentanta samorządów z DS-ów (z Osiedla Wyspiańskiego i Osiedla Hibnera) po prostu nie było, więc inicjatywy elektroników wychodzące z akademików były rozbite i mało skuteczne.

- Już od początku lat sześćdziesiątych wyraźne i coraz widoczniejsze było przekonanie prostudencko zorientowanych naukowców – dydaktyków Wydział Elektroniki, że znacznie łatwiej, skuteczniej i częściej można by oddziaływać na studentów z Wydziału, gdyby wszyscy oni zamieszkiwali w jednym wspólnym akademiku. Pomysł zyskiwał zwolenników, ale dopiero po kilkuletnich tarapatach DS-9 stał się wyłącznie domem elektroników. Zaskakujące było, że sprzyjał temu – kłopotliwy dla nas – fakt preferowania przez władze PG kierunku budownictwa okrętowego.
- Sytuacja na PG była definiowana i zakresłana z perspektywy siły wpływu jej aktualnego rektora. W latach 1968-1969 prorektorem, a w 1970-74 rektorem był prof. Janusz Staliński, bardzo związany z Wydziałem Budowy Okrętów.
- My, studenci Wydziału Elektroniki, mieszkający w różnych akademikach, zabiegaliśmy zdecydowanie w latach 1970-72 o jeden wspólny i do tego nowy dom studencki dla wszystkich naszych studentów (mężczyzn) mieszkających już wówczas (i w dalszej przyszłości) w akademikach. Walka o przyznanie nam nowego akademika, chociaż ostatecznie przegrana, bardzo scementowała studencką społeczność Wydziału Elektroniki oraz ukazała życzliwą nam i doświadczoną życiowo siłę sprawczą w osobie pani docent Marianny Sankiewicz.
- Co nas więc łączyło i spajało? Łączyło nas rozumienie nadchodzącego czasu zmian i wzrost znaczenia oraz roli społeczności absolwentów – elektroników i informatyków. Powinni oni posiadać nowoczesne kompetencje prospołecznego kierowania i zarządzania oraz wiedzę z zakresu nowych technologii komunikacji. Łączyły nas też wielkie ambicje, gotowość do

ciężkiej pracy społecznej w zdewastowanym akademiku i dobrze rozumiany patriotyzm wydziałowy.

- W naszym życiu społecznym studentów tego samego wydziału PG lat 1967-1972 – mieszkających w różnych akademikach – było tak, że każdego dnia zmagaliśmy się z ogromną ilością różnego rodzaju problemów naukowo – dydaktycznych, komunikacyjnych, socjalno – bytowych, także udzielaniem (wspieraniem) wzajemnie „bratniej”, wydziałowej pomocy – które to problemy (dzięki dezinformacji, dezintegracji i osłabianiu spójności relacji) w skuteczny sposób potrafiły blokować rozwój i wzrost oraz jakość życia i współżycia zarówno pojedynczych studentów, grup studenckich i innych wspólnot wydziałowych. To mogły być też problemy finansowo – stypendialne, brak pieniędzy na zaspokojenie niezbędnych potrzeb w zakresie podręczników, perypetie ze zdrowiem, brak porozumienia w grupie laboratoryjnej, brak harmonii



Spotkanie absolwentów z okazji 50 - lecia Uczelnianego Parlamentu PG.

Pierwszy od lewej - autor wspomnienia

itd. Wszystko to prowadziło niekiedy do spadku wiary w siebie. Wyglądało to tak, jakbyśmy sami osłabiali się, a niekiedy i skazywali na wspólną porażkę – przy braku efektu synergii – w działaniach socjalno – bytowo – kulturalnych, naukowo – dydaktycznych i we wspólnym reprezentowaniu naszego Wydziału na zewnątrz.

- Nowy akademik dostali studenci – okrętowcy, a my – aby zapobiec apatii – naszą tymczasową „przegraną”... zaczęliśmy przekuwać w podejmowanie „pozytywistycznej pracy u podstaw”. Chętnych do tego dzieła początkowo brakowało. Ale nasza sytuacja bardzo się zmieniła, gdy zaczęliśmy inspirować się wzajemnie do działania i innowacji. Okazało się, że niektóre z naszych dawnych pytań, myśli i słów, jakie głośno wypowiadaliśmy zabiegając o nowoczesny akademik, skutecznie nas blokowały oraz sprawiały, że pozostawialiśmy nadal w miejscu, w którym nie chcieliśmy być, w którym było nam źle. Coraz bardziej rozumieliśmy, że nasze problemy i niepowodzenia zaczynają się właśnie w tym miejscu. Wystarczyło teraz stawiać wyzywające pytania, zamieniać ograniczające nas myśli i słowa na inne, które miały zupełnie odwrotne działanie. Prowadziło to do tego, że zaczęliśmy poznawać się na nowo i też w praktyce – swoistej modernizacji warunków i przestrzeni mieszkania – nauczyliśmy się stosować odpowiednie reguły i zasady „przekuwania słabego w mocne”, dzięki czemu częściej przezwyciężaliśmy samoograniczenia i potrafiłiśmy zapobiegać kłopotom.
- Zamiast pogrążyć się w trudnych sytuacjach – stymulowani delikatnie przez panią docent Mariannę Sankiewicz – poczuliśmy w sobie palące pragnienie osiągnięcia zamierzonego celu – wyzwania (przyjemne mieszkanie w skonsolidowanym akademiku!). Nauczyliśmy się dostrzegać i zestrajać wspólne dla Wydziału i DS-u – a więc bardziej pewne – priorytety, które na wiele lat determinowały nasze wzorce, postawy i nastawienia. Każdy student – społecznik dostawał więc wymagającą

„szkołę życia w trudach”, jako „ZWYCIĘSTWO NAD SAMYM SOBĄ”, która dawała mu mocnego „kopa” do skutecznego działania i „PUBLICZNEGO ZWYCIĘŻANIA” – w dydaktyce oraz w przyszłej pracy fachowej. Stało się to ogromnym źródłem energii i motywacji, po które mogliśmy sięgać w każdej chwili, gdy poczuliśmy w sobie słabość. Było to więc skutecznym sposobem na ładowanie w sobie „akumulatorów”. Stawaliśmy się stopniowo coraz bardziej panami swojego losu.

- Jako pierwsza Rada Samorządu już wydziałowego DS-u uznaliśmy, że nie można się poddawać, trzeba walczyć o swoje marzenia, trzeba znaleźć w sobie siłę i determinację, aby osiągnąć to, co na pozór wydaje się być niemożliwe w tym tak starym przecież obiekcie.
- Wydziałowa społeczność akademika – przewyciężając wszystkie swoje ograniczenia i odnajdując SIŁY swojego WNE-TRZA – osiągnęła całkowicie nowy pułap swoich możliwości. Ta wewnętrzna moc pomagała przewyciężyć pojawiające się nadal przeciwności losu, dotyczące Wydziału i DS – 9. Stawała się skuteczna nawet w sytuacjach, kiedy już nie mieliśmy nadziei i ochoty iść do przodu, przygotowywać się do stosowania praktycznej inżynierii kreatywności. Uświadamialiśmy sobie wtedy, jaką moc ma taka wspólnota.

W naszym pierwszym kilkunastoosobowym składzie Rady Samorządu DS-9 byli m.in.:

- Jan Repiński – przewodniczący
- Roman Trykowski – wiceprzewodniczący
- Stanisław Czubasiewicz – sekretarz
- Marian Sadowski – skarbnik
- Zdzisław Rybnik, późniejszy jej przewodniczący – po podjęciu przeze mnie funkcji Pełnomocnika Uczelnianego Parlamentu ZSP Politechniki Gdańskiej ds. Inwestycji oraz Członka Zespołu Rady Naczelnej Zrzeszenia Studentów Polskich ds. Inwestycji.

„Szara eminencją” w akademiku był... „Karol”, Bolesta Boładź, i należało się z tym faktem liczyć...

Końcowe wnioski:

Jako uczeń próbujący dotknąć, zrozumieć i ogarnąć geniusz Mistrza, zastanawiam się: co wyróżnia i cechuje sens oraz oryginalną logikę podejścia pani doc. dr inż. Marianny Sankiewicz do spraw studentów? Moim zdaniem, jest to konsekwentna metodologia formowania charakterów studentów, widzianych jako „kompletne osoby z przeszłości dla przyszłości”. Jest więc to znacznie więcej niż wychowywanie i inżynieria kształcenia kadr dla nieprzewidywalnego jutra.

Jan Repiński
Absolwent 1972 r.

Wykaz stanowisk i nagród

Stanowiska / Funkcje / Nagrody / Wyróżnienia	od	do
Pracownik Komitetu „Polskie Radio i Telewizja”	23.02.1945	1991
Studentka Wydziału Elektrycznego PG, sekcji Radiotechnika	1945	1950
Dyplom magisterski w zakresie Radiotechniki, Wydziału Elektrycznego	22.12.1950	
Inż.-konstruktor, Przemysłowy Instytut Telekomunikacji w Gdańsku	07.1951	02.1953
St. asystent, Katedra Radiotechniki Nadawczej PG	02.1952	09.1957
Adiunkt, Katedra Radiokomunikacji PG	10.1957	09.1964
Prodziekan Wydziału Łączności PG	01.10.1960	31.08.1962
Wykładowca, Katedra Radiokomunikacji PG	10.1964	10.1965
Prodziekan Wydziału Elektroniki PG	01.09.1964	31.08.1966
St. wykładowca, Katedra Radiokomunikacji PG	11.1965	
Prodziekan Wydziału Elektroniki PG	01.09.1966	31.08.1967
Doktorat na Wydziale Elektroniki PG, promotor profesor J. Groszkowski	10.01.1968	
Nagroda Ministra Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, indywidualna, III stopnia	01.10.1969	
Z-ca dyrektora Instytutu Radiokomunikacji / Telekomunikacji PG	1969	1972
Docentura na Wydziale Elektroniki PG	01.11.1970	

Prodziekan Wydziału Elektroniki PG	01.09.1969	31.08.1981
Delegat Rady Wydziału Elektroniki do Senatu PG	1972	1974
Nagroda Ministra SWiT. indywidualna, II stopnia	26.09.1977	
Nagroda Ministra SWiT, zbiorowa, II stopnia	01.10.1978	
Pełnomocnik Rektora ds. Współpracy z Uniwersytetem w Salonikach	1979	1991
Dyplom za XXXV-letnią pracę w Polskiej Radiofonii i Telewizji	23.02.1980	
List gratulacyjny z okazji 35-lecia pracy w Rozgłośni Gdańskiej Polskiego Radia	23.02.1980	
Prorektor do spraw kształcenia PG	1981	1984
Członek Rady Naukowo-Technicznej przy Komitecie ds. Radia i Telewizji w Warszawie	06.04.1982	1985
Członek Komitetu Akustyki PAN	1994	2006
Audio Engineering Society, vice-president of the Central Europe Region	1995	1997
Citation Award by the AES Board of Governors	17.05.1998	
Członek honorowy Polskiego Towarzystwa Akustycznego	19.09.2000	
Fellowship Award by the AES Board of Governors	28.05.2005	

Uwaga: pominięto liczne nagrody Rektora PG, Dziekana Wydziału itp.

Wykaz odznaczeń

L.p.	Nazwa odznaczenia	Kategoria	Nadawca	Data
1	Medal X — lecia PRL		Rada Państwa	22.07.1955
2	Zasłużonym Ziemi Gdańskiej	Odnaka Honorowa	Prezydium WRN	7.06.1965
3	Krzyż Zasługi	Srebrny	Rada Państwa	30.08.1965
4	Odnaka Komitetu ds. RiTV	Honorowa	Komitet ds. R i TV	22.05.1970
5	Odnaka ZSP	Honorowa	Rada Naczelna ZSP	23.01.1973
6	Polonia Restituta	Krzyż Kawalerski	Rada Państwa	16.07.1973
7	Medal XX — lecia PRL		Rada Państwa	22.07.1974
8	Zasłużony Pracownik łączności	Złota Odnaka	Min. łączności	5.04.1976
9	Odnaka SZSP	Honorowa Odnaka SZSP	Zarząd Główny SZSP	12.11.1977
10	Medal Komisji Edukacji Narodowej		Min. Oświaty i Wychowania	6.12.1977
11	Zasłużony Pracownik łączności	Złota Odnaka	Min. łączności	28.03.1984
12	Medal XL — lecia PRL		Rada Państwa	22.07.1984
13	Medal Pamiątkowy Politechniki Gdańskiej	Srebrny	Kolegium Rektora PG	9.01.1985

14	Medal 50 – lecia Wydziału Elektroniki PG		Rada Wydziału	2002
15	Medal Księcia Mściwoja II		Rada M. Gdańska	23.04.2004
16	70 lat Polskiego Radia, 1925-1995	Auditoris Amici		1995
17	Zasłużonemu dla Polskiego Radia i Telewizji	Medal XXV – lecia RiTV	Komitet ds. RiTV	maj, 1970
18	Medal XXX – lecia PRL			
19	Medal 30 – lecia Zakładów „Radmor” w Gdyni	Medal Jubileuszowy		4.10.1979

Spis treści

Posłanie JM Rektora Politechniki Gdańskiej.....	7
Dlaczego jest nam tak bliska?.....	9
Inżynieria kształcenia.....	11
Wniosek o nadanie odznaczenia	67
Uzasadnienie wniosku	68
Rekomendacje do odznaczenia	76
Akt nadania odznaczenia	79
Pani Rektor	81
Madame Curie.....	89
Zarażała szlachetnością... ..	93
Mam dwie matki.....	97
A jednak zostałem inżynierem... ..	109
Akademik elektroników.....	115
Wykaz stanowisk i nagród.....	122
Wykaz odznaczeń	124

